

Tytuł oryginału  
*AniceGirlLikeYou*  
Pierwsze wydanie  
*Silhouette Books, 1996*

*Sellers Alexandra*  
Taka miła dziewczyna

Korekta  
*Stanisława Lewicka*  
*Maria Kaniewska*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Zrozpaczona matka szuka miłej, mądrej dziewczyny:  
120-35 lat, nie musi być ładna; rola na jeden wieczór przy  
rodzinnym obiedzie; całkowicie legalne.*

Samanta Jagger odstawiła kubek z kawą. Sięgnęła do porcelanowego wazonika, stojącego na samym środku kuchennego stołu. Tkwiły w nim trochę wyblakłe sztuczne kwiaty. Kiedyś były niebieskie i doskonale pasowały do wystroju kuchni i kremowych tapet w niebieski rzucik. Teraz jednak, mało że wyblakły, to jeszcze dzieliły wazon z mnóstwem różnokolorowych flamastrów i długopisów, definitywnie I psując dekoracyjny niegdyś efekt. Samanta nawet by tego nie zauważyła, gdyby nie Justin. Już parę razy zwracał jej uwagę na fakt, że wazonik pełen długopisów nie wygląda zbyt estetycznie. Kiedy przychodził do Samanty, zawsze przestawiał go na parapet.

- Muszę mieć pod ręką coś do pisania - tłumaczyła mu Samanta. - Gdybym musiała szukać długopisu po całym domu, mogłabym zgubić myśl.

- One i tak są do niczego - stwierdził Justin. Oczywiście miał na myśli długopisy, a nie złote myśli Samanty. - Kiedy Szukasz piszącego długopisu w tym bałaganie, to nie gubisz myśli?

Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że Justin chyba jednak miał trochę racji. W długopisie, który wyciągnęła, wy-

czarpał się wkład, a cienkopis całkiem wysechł. Samanta pomyślała, że powinna wypełnić kubek piszącymi długopisami, a te tutaj wreszcie wyrzucić do śmietnika, ale jakoś nie miała do tego serca. Wszystkie te długopisy wyglądały jeszcze całkiem porządnie. Nienawidziła wyrzucania porządných rzeczy.

Dzisiaj się ich pozbędę, postanowiła, wyrzucając na początek długopis i cienkopis, które już okazały się nieprzydatne.

Za trzecim razem miała więcej szczęścia. Wyciągnęła czerwony flamaster, który nie zdążył jeszcze całkiem wyschnąć. Zakreśliła ogłoszenie, po czym machinalnie włożyła wszystkie pisaki z powrotem do wazonu. Wypiła łyk kawy i raz jeszcze przeczytała dobrze widoczne tym razem ogłoszenie.

To chyba głupi żart. Samanta nie miała w tych sprawach wielkiego doświadczenia, ale wiedziała, że matki bywają zrozpaczone głównie dlatego, że nie mogą wydać za mąż córki albo ożenić syna. A w takiej sytuacji jeden wieczór niczego przecież nie może zmienić. Chyba że ta kobieta liczyła na to, że gdy jej syn znajdzie się w pobliżu nadającej się na żonę kobiety, coś się w nim wreszcie ruszy. W końcu przysłowie: „Śmierć i żona od Boga przeznaczona” nie wzięło się z powietrza.

Chociaż z drugiej strony w ogłoszeniu nie ma ani słowa o tym, że poszukiwana kobieta musi być wolna. Może więc wcale nie chodziło o ożenienie syna, tylko o coś zupełnie innego. Na przykład o pokazanie niewydarzonej córce, jak wygląda kobieta sukcesu. Jeśli tak, to można będzie potem napisać o tym coś ciekawego. Samanta miała stałą kolumnę w jednym z tygodników. Opisywała w niej szalone pomysły i niezwykle zdarzenia z życia zwykłych ludzi. Postanowiła sprawdzić, czy i z tego

dziwaczego ogłoszenia nie da się czegoś ciekawego wycisnąć. W końcu niczego nie ryzykowała. Nawet gdyby miało się okazać, że jakiejś kobiecie chodzi tylko o ożenienie syna, którego żadna nie chce. No i co z tego, że Samanta też nie będzie go chciała? Przecież ta matka z ogłoszenia napisała, że jest zrozpaczona, a więc przeżyła już kilka rozczarowań i to jedno na pewno jej nie zabije.

Nie namyślając się dłużej, podeszła do biurka. Justin lada moment miał po nią przyjechać, więc musiała się spieszyć, ale skreślenie kilku słów nie powinno jej zabrać zbyt wiele czasu. Przeszukała całą szufladę. Nigdzie nie znalazła papieru listowego, choć przecież była pewna, że gdzieś tu go schowała. Wpadł jej w ręce tylko liniowany blok.

Wróciła do kuchni. Czerwonym flamastrem napisała na liniowanej kartce: „Zrozpaczona matko, przeczytałam ogłoszenie. Uwielbiam domowe obiady. Zadzwoń, Sam”. Na dole dopisała swój numer telefonu. To było ostatnie tchnienie czerwonego flamastra, ale jeśli się chciało, można było odczytać cyfry.

Wydarła kartkę z bloku. Róg nie całkiem się wydarł, ale ponieważ uszczerbku doznała tylko część słowa „zrozpaczona”, Samanta uznała, że może tę kartkę wysłać. Nie mogła poświęcić tej sprawie więcej czasu.

Zdażyła jeszcze włożyć list do koperty, zakleić ją i zaadresować, kiedy zadzwonił dzwonek domofonu. Dzwonił długo i bardzo głośno, a więc z pewnością nie był to listonosz, tylko Justin. Miał nieznośny zwyczaj uporczywego zawiadamiania o swoim przybyciu.

Samanta rzuciła gazetę i pobiegła do domofonu. Pomyślała, że zamiast tego irytującego dzwoneka wolałaby mieć gong. Jej marzenie miało się wkrótce spełnić. Justin obiecał, że każde zainstalować gong w ich nowym mieszkaniu.

Lecz gdy zamieszkają razem, Justin nie będzie musiał korzystać z domofonu. Ale miło z jego strony, że w ogóle o tym pomyślał. Justin był miłym i troskliwym mężczyzną. Dlatego właśnie Samanta była prawie pewna, że go kocha.

Trochę tylko żałowała, że zamiast wybiegać myślą w przyszłość, nie skupił się na teraźniejszości. Przecież mógłby dzwonić inaczej, nie tak natarczywie. Dlatego właśnie powiedziała mu, że nie lubi tego dzwonka. Ale Justin nie rozumiał aluzji. Nigdy nie zauważał związku pomiędzy swoimi czynami a tym, co mówiła do niego Samanta.

To moja wina, pomyślała. Powinam mu to powiedzieć wprost. Boję się jednak, że go zranię. Justin jest bardzo wrażliwy. Czasami.

- Cześć - powiedziała do mikrofonu. - Zaraz będę gotowa. Wejdiesz na górę?

- Zaczekam w samochodzie - odparł Justin.

Należało się ubierać, a nie grzebać się z kawą i jeszcze z tą gazetą, pomyślała, zła na siebie, Samanta. Za pięć minut będę gotowa, ale Justin przez ten czas musi siedzieć w samochodzie, a potem zgani mnie za każdą sekundę z tych przeklętych pięciu minut.

Justin nienawidził improwizacji. Był systematyczny, uporządkowany. Nigdy nie wpuszczał na swoje wykłady spóźnialskich, a tendencja Samanty do zapominania o upływie czasu bardzo go niepokoiła. Ona tymczasem naprawdę się starała nie spóźnić. Problem w tym, że interesujące rzeczy zdarzały się właśnie wtedy, kiedy powinna znajdować się zupełnie gdzie indziej. Choćby to ogłoszenie...

Nie mogła odżałować, że Justin nie chciał wejść na górę. Gdyby popijał kawę, czekając, aż ona się umaluje, nie czułaby się tak paskudnie.

Pobiegła do łazienki. Rozczesała włosy, włożyła niebieską

paszkę, pasującą kolorem do dżinsowej koszuli. Ciemne włosy spadały jej na plecy, ale przynajmniej nie zasłaniały twarzy. Nie upięła ich w kok, choć gdyby nie zmarnowała aż tyle czasu, pewnie tak właśnie by się uczesała. Justin uwielbiał jej włosy. Twierdził, że ich dzika zmysłowość - tak to nazywał - była tym, co zwróciło jego uwagę na Samantę. Dlatego właśnie wolał, żeby wychodząc z domu, nosiła je upięte. Chciał zachować ich zmysłowość wyłącznie dla siebie. Samancie bardzo to pochlebiało, choć nie zawsze miała ochotę bawić się w upinanie swoich niesfornych włosów.

Nałożyła na powieki odrobinę cienia, pociągnęła rzęsy tuszem, przypudrowała nos. Wyglądała całkiem nieźle. Zresztą i tak nie miała czasu na nic więcej. Nawet pięciu minut jej to nie zajęło. Chwyciła żakiet i wielką płócienną torbę, włączyła alarm i wyszła z mieszkania. Już miała zamknąć drzwi, kiedy zauważyła leżący na stole list. Wbiegła do mieszkania, wpadła do kuchni, chwyciła kopertę. I wtedy rozrzęszczał się alarm.

Samanta drgnęła jak oparzona. Zupełnie zapomniała o alarmie. Podbiegła do urządzenia. Musiała jak najprędzej wprowadzić swój kod. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że kod nie zadziała, gdy czujniki wykryją złodzieja. Odetchnęła z ulgą, gdy zadzwonił telefon.

- Dom wariatów! - krzyknęła do słuchawki. - Dom wariatów! Proszę mi podać kod. Szybko.

- Nietrudno mi w to uwierzyć - odezwał się w słuchawce znajomy głos.

- Phil! - zawołała Samanta. To był naczelny redaktor jednego z pism, w którym Samanta czasami zamieszczała swoje atrykuły. - Bardzo cię przepraszam, ale czy mogłabym zadzwonić później? Ci od alarmu zawiadomią policję, jeśli nie będą się mogli do mnie dodzwonić.

Nie czekając na odpowiedź, rzuciła słuchawkę. Telefon natychmiast znów zadzwonił.

- Tu System Alarmowy As - powiedział męski głos.

- Tak, wiem - przerwała mężczyźnie Samanta. Wszystko strasznie długo trwało. Wiedziała, że Justin na pewno już się wścieka. - Niechcący włączyłam alarm. Dom wariatów. Czy może mi pan podać numery? Ten przekłety dzwonek umarłego by obudził.

Wiedziała, że sąsiedzi będą wściekli. Nie każdy lubi wstać w sobotę o wpół do dziewiątej rano.

- Proszę podać hasło - powiedział facet od alarmu.

- Dom wariatów. Już panu mówiłam! Dom wariatów!

- Tak, rzeczywiście. Nie zorientowałem się... Tak, to właściwe hasło. Czy stoi pani blisko alarmu?

Specjalista od alarmów z namaszczeniem odczytywał kolejne punkty instrukcji. Nie mogło być mowy o skróceniu procedury.

- Tak, stoję blisko alarmu - odparła zrezygnowana Samanta.

- Teraz podam pani sekwencję cyfr, a pani wprowadzi je do urządzenia alarmowego. Proszę wprowadzać kolejne cyfry, w miarę jak będę je pani dyktował. Czy rozumie pani instrukcję?

- Pewnie, że rozumiem! Niech pan dyktuje! Nie mogę już znieść tego hałasu!

- Czy jest pani gotowa? Czy mogę już podawać cyfry?

Samanta postanowiła, że już w poniedziałek zmieni firmę obsługującą alarm. Nie można tak traktować człowieka, któremu wyje nad głową piekielna syrena.

- Niech mi pan wreszcie podyktuje ten kod.

- Czy jest pani gotowa...

- Tak, jestem gotowa wprowadzić sekwencję cyfr do urządzenia alarmowego! Może je pan wreszcie podyktować?

- Oczywiście. - Mężczyzna najwyraźniej poczuł się urażony. - Proszę wcisnąć zero, jeden, sześć...

- Sam, jesteś tam? - rozległ się cienki głosik i stanowcze pukanie do drzwi. - Sam?

- ...pięć, trzy, trzy...

- Chwileczkę - zawołała Samanta w stronę drzwi, wciskając kolejne guziki.

- Mam przerwać dyktowanie kodu?

- Nie! To nie do pana. Ktoś się dobija do drzwi. Pewnie sąsiadka. Do diabła! Teraz już nie wiem, czy wcisnęłam obie trójki, czy tylko jedną. Proszę poczekać. I tak już się zgubiłam. - Samanta rozciągnęła sznur słuchawki na całą długość. Udało jej się otworzyć drzwi. - Cześć, Marie! Przepraszam. Właśnie dyktują mi kod. Dopiero wtedy to diabelstwo się zamknie. Czy może pan zacząć od nowa?

- Jeśli wprowadziła pani już jakieś cyfry, muszę podać pani inny kod. Czy wprowadziła pani już jakieś cyfry do urządzenia alarmowego?

- Tak, wprowadziłam. Zgubiłam się przy dwóch trójkach.

Marie weszła do mieszkania. Była w różowym szlafroku, boso i miała ze sobą wielki nóż.

- Wobec tego muszę pani podać inną sekwencję cyfr. Czy jest pani gotowa?

Samanta przeraziła się na widok noża, ale nic nie powiedziała. Przede wszystkim musiała uciszyć alarm.

- Tak, jestem gotowa.

- Dziękuję. Proszę wcisnąć zero, zero, jeden, sześć...

Kod miał co najmniej dwadzieścia pięć cyfr. Na pewno po to, żeby nikt nie był w stanie go zapamiętać i obrabować wszystkich miejsc strzeżonych przez System Alarmowy As. Na szczęście, tym razem udało jej się bez zakłóceń dokończyć dzieło. Zrobiło się cicho.



Samanta podziękowała operatorowi i odłożyła słuchawkę. Dopiero teraz mogła się zająć Marie.

- Po coś ty to wzięła? - zapytała, wskazując nóż.

Marie była modelką. Drobną, przeraźliwie chudą, wyglądała jak trzynastoletnia dziewczynka. I ta drobna kobietka przybiegła z nożem na ratunek sąsiadce!

- Nie wiem! - Marie wzruszyła ramionami. - Może po to, żeby kogoś postraszyć. Bałam się, że cię napadli. Albo że nakryłaś złodzieja...

- Naprawdę, Marie? - Samanta była wzruszona. - Nie wiem, jak ci dziękować.

- Nie ma za co dziękować. Sąsiedzi powinni sobie pomagać.

Samancie zrobiło się ciepło koło serca. Ostatnio ludzie coraz rzadziej mówili takie słowa, a trafić na kogoś, kto by nie tylko mówił, ale także postępował w myśl tej zasady, było prawie niepodobieństwem.

- Każdy według swoich możliwości - mruknęła. - Jeśli sąsiad waży czterdzieści pięć kilo, nie powinien się narażać, tylko wezwać policję.

Marie jedynie się uśmiechnęła. Odłożyła nóż na półkę z książkami.

- Czy mi się zdaje, czy czuję kawę? - zapytała. - Ale może ty się spieszysz...

- Ja i Justin chcemy obejrzeć kilka mieszkań, ale mam jeszcze trochę czasu - skłamała Samanta. - Już podaję kawę.

- Naprawdę masz czas? Wiem, że Justin nie lubi czekać.

Samanta nie mogła wypuścić Marie, nie poczęstowawszy jej nawet kawą. W końcu ta drobna istotka przybiegła jej na ratunek. Onajedna z całej kamienicy.

Justin na pewno zrozumie, pomyślała. Zresztą dochodzi dziewiąta. Może sobie posłuchać wiadomości. Nawet nie zauważy, że się spóźniłam.

- Czekaliby znacznie dłużej, gdyby rzeczywiście ktoś na mnie napadł, a ty nie przyszłabyś z odsieczą.

Dzbanek z kawą był wciąż gorący. Przede wszystkim dlatego, że Samanta zapomniała wyłączyć podgrzewacz.

- Coś mi się tu nie zgadza - powiedziała Marie, siadając Ina krześle. Ziewnęła szeroko. - Ale tak rano nie chce mi się o tym myśleć.

- Nie warto. - Samanta podała sąsiadce filiżankę z kawą.  
- Słodzisz?

- W tym tygodniu nie. - Marie się skrzywiła. - Od wtorku przybyło mi pół kilograma. I tak będę musiała dziś biegać. Nie chcę sobie dodawać dodatkowej godziny treningu.

Samanta nie lubiła tłuszczu na swoim ciele, ale była zadowolona, że nie musi na siebie uważać tak jak Marie, która miała bzika na punkcie swego wyglądu. Zawodowego bzika.

- A więc jedziecie oglądać mieszkania - odezwała się Marie. - Naprawdę chcesz zamieszkać z Justinem?

- Właściwie żadne z nas wyraźnie tego nie powiedziało. Justin chce sobie kupić mieszkanie. Obiecał wybrać takie, które i mnie się spodoba.

Justin był ostrożny. Nie lubił pośpiechu i ryzyka. Samanta wiedziała, że prawie się zdecydował zamieszkać razem z nią. Dlatego postanowił kupić mieszkanie. A jednak wolał zostawić sobie jeszcze trochę czasu. Musiał wszystko raz jeszcze przemyśleć. Taki już był. Samancie ani trochę to nie przeszkadzało. Bardzo chciała zamieszkać z Justinem, zostać jego żoną, stworzyć sobie i jemu prawdziwy dom. Ale pragnęła, żeby on także był pewien, że naprawdę tego chce. W końcu i nawet najlepsze małżeństwa czasami się rozpadają. Samanta wolała nie ponaglać Justina, żeby w razie czego nie mieć i sobie nic do zarzucenia.

Miała nadzieję, że uda im się znaleźć jakieś przytulne

mieszkanko. Niewiele potrzebowała do szczęścia, choć minimalistyczny styl, w jakim urządzone było obecne mieszkanie Justina, zupełnie jej się nie podobał. Justin zajmował osobne lokum w domu rodziców. Jego matka była wziętym dekoratorem wnętrz. To ona zaprojektowała mieszkanie syna. Czasami nawet pokazywała je swym potencjalnym klientom. Mówiła że to jej sztandarowe dzieło.

Samanta uważała, że trochę trudno żyje się na sztandarze. Najmniejszy przejaw normalnego życia sprawiał, że cały efekt dekoratorski szedł na marne. Samanta była tam kiedyś tuż przed przybyciem jednego z klientów Veroniki. Siedziała na wyjątkowo niewygodnej kanapie i czytała gazetę. Oprócz tej kanapy i niepokojącej rzeźby zatytułowanej „Głód” w pokoju nie było żadnego umeblowania. Tylko wielka połać dębowej podłogi.

A więc Samanta czytała, siedząc na tej niewygodnej kanapie, kiedy nagle poczuła, że ktoś wyjmuje jej z rąk gazetę. To była Veronika.

- Oddam ci ją, gdy goście już sobie pójda - powiedziała do zaskoczonej Samanty.

Samanta nie mogłaby mieszkać w takim domu. Justin zapewniał ją że także nie lubi swojego mieszkania. Twierdził, że mieszka tam tylko dlatego, żeby sprawić matce przyjemność i że jego nowe mieszkanie będzie wyglądało zupełnie inaczej.

Na pierwsze spotkanie byli umówieni o dziewiątej. Justin nie omieszkał jej tego przypomnieć, kiedy zjawiła się w samochodzie mniej więcej pięć minut po dziewiątej.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Samanta. - Wszystko mi się dzisiaj skomplikowało.

- Tobie zawsze wszystko się komplikuje. - Justin uśmie-

chnął się do niej jak do dziecka, które znów coś nabroiło. - To jedna z tych rzeczy, które w tobie kocham.

Starał się zachować spokój, ale Samanta wiedziała, że jest poirytowany. Nie słuchał radia i miał minę męczennika.

- Niechcący uruchomiłam alarm. Wyobraź sobie, że Marie przybiegła, żeby mnie ratować. Myślała, że ktoś mnie napadł, więc wzięła nóż do chleba...

- Co za głupota - przerwał jej Justin. Zdążył już nie tylko uruchomić silnik, ale wyjechać na ulicę. - Komuś mogła się stać krzywda. Nie wolno tak ryzykować.

- Myślała, że ktoś chce mi zrobić krzywdę!

- Gdyby tak było, to tylko pogorszyłoby sprawę.

Samanta się do niego uśmiechnęła. Nie chciała się z nim sprzeczać. Justin pewnych spraw zdawał się nie pojmować. Zapewne dlatego, że nigdy nie musiał się liczyć z pieniędzmi. Codzienne troski zwykłych śmiertelników w ogóle go nie interesowały.

Przodkowie Justina byli intelektualistami. On sam wykładał literaturę angielską i kanadyjską na Uniwersytecie Toronto. Tak samo zresztą jak jego ojciec. Ostatnio napisał krótką powieść, która szturmem zdobyła salony literackie. „Czarna przyszłość” miała doskonałe recenzje. „Justin McCourt wszystko podporządkował stylowi”, pisano. „Dobrze że tak postąpił, ponieważ jest wspaniałym stylistą.”

Justin był też niewiarygodnie przystojny. Wysoki, szczupły, jasnowłosy. Ubierał się jak arystokrata. Nawet w dżinsach i zwykłej tweedowej marynarce wyglądał jak człowiek bogaty. Ludzie zawsze traktowali go tak, jakby wiedzieli, że nosi buty za dwieście dolarów. Samantę trochę to denerwowało. Nie potrafiłaby żyć tak jak Justin, tak samo jak nie umiałaby mieszkać w jego prawie pustym mieszkaniu.

Pierwsze mieszkanie, jakie mieli tego dnia obejrzeć, znaj-

dowało się niedaleko domu Samanty, tyle że przy bardzo eleganckiej ulicy. Samanta nie pytała, ile może kosztować. Jej dochody nie pozwalały nawet na marzenia o takim mieszkaniu. W milczeniu podążała przez wielkie pokoje. Uśmiechała się, słuchając, jak Justin rozmawia z pośredniczką o wielkości mieszkania, o jego czterech łazienkach i miesięcznych kosztach utrzymania budynku.

Nie przypuszczała, że Justin chciał zamieszkać w takim miejscu. W ogromnym salonie znajdowały się schody prowadzące na galerię, na której urządzono jadalnię. W mieszkaniu był też „gabinet”, „studio”, „mieszkanie dla służby”, dwie sypialnie dla gości ze wspólną łazienką, pokój dziecięcy - także z łazienką - i sypialnia gospodarzy z łazienką wielkości kortu tenisowego.

Za te pieniądze, a raczej za jedną trzecią tej sumy, można było kupić całkiem przyzwoity dom. Samanta tak właśnie wolałaby zrobić. Własny dom mogłaby zamienić w cichą przystań dla siebie i swojej rodziny. Justin jednak koniecznie chciał mieszkać blisko uniwersytetu, nie było więc mowy o kupowaniu domu, bo to wiązałoby się z koniecznością zamieszkania na przedmieściu.

Dom z mieszkaniem, które właśnie oglądali, znajdował się na tyle blisko, że Justin mógłby chodzić pieszo na uniwersytet. Samanta dobrze wiedziała, że tak naprawdę wcale nie chciał kupić tego mieszkania. On tylko udawał zainteresowanie. Był bardzo dobrze wychowany, więc skoro wyciągnął pośredniczkę z domu o tak wczesnej porze, skoro - na domiar złego - się spóźnił, musiał przynajmniej udawać, że jest zainteresowany ofertą. Prawdopodobnie źle zrozumiał, co mu chciała zaproponować. A może pośredniczka zorientowała się, z kim ma do czynienia i postanowiła mu pokazać najokazalsze mieszkanie, jakim dysponowała jej

agencja. Niezależnie od tego, czego Justin naprawdę sobie życzył.

Pośredniczka była młoda, atrakcyjna i spragniona sukcesu. Na imię miała Deborah. Zależało jej na tym, żeby sprzedać to ogromne mieszkanie. Samanty prawie nie zauważyła, za to całą uwagę skupiła na Justinie. Wiedziała, że ma do czynienia z posiadaczem wielkiej fortuny. Całym swoim zachowaniem dawała wyraz pełnemu zrozumieniu potrzeb Justina. Wiedziała, że chciał ciszy i spokoju. Wiedziała, że potrzebne mu jest mieszkanie w najlepszym guście. Justin był naiwny jak dziecko. Wierzył w szczerą jej intencję.

- Ile mieszkań obsługuje winda? - zapytał.

- Szczęść - odparła ze skruszoną miną. Jakby się spodziewała, że Justin od razu wyczuje słaby punkt tego rajku na ziemi.

- Ta winda obsługuje połowę mieszkań w budynku - tłumaczyła się Deborah. - Na każdym dwóch piętrach jest jedno mieszkanie. Oprócz piątego i szóstego, bo tam mieszkania są mniejsze.

Skrzywiła się, jakby nie mogła odżałować, że ktoś dopuścił, aby w takim cudownym miejscu były mniejsze mieszkania.

- Jest miejsce na osobną windę - wyjaśniła pośpiesznie. Jakby nie mogła znieść myśli, że taki wspañiały mężczyzna mógłby się otrzeć w windzie o jakiegoś zwykłego zjadacza chleba. - Oczywiście dysponujemy też pozwoleniem na dokonanie tego rodzaju modernizacji.

Samanta wyobraziła sobie, jak Justin każe zainstalować osobną windę, byleby tylko nie musieć się spotykać z sąsiadami. Omal nie wybuchnęła śmiechem. Zaciśnęła usta i spuściła głowę. Ale Justin wciąż udawał zainteresowanie.

- Ciekaw jestem, ile by to kosztowało - powiedział.

Pośredniczka, oczywiście, wiedziała. Ze szczegółami. Wszystko miała zapisane w notesie. Podała mu preliminarz. Stała tuż za jego ramieniem tak, żeby jej delikatne perfumy nie zdołały ominąć jego nosa. Prawie dotykali się głowami.

Samanta dopiero teraz zrozumiała, o co tej kobiecie naprawdę chodzi. Nie tylko chciała sprzedać Justinowi mieszkanie. Miała wielką ochotę sprzątnąć go Samancie sprzed nosa i zamieszkać z nim w tym wspaniałym miejscu. Samanta nie mogła jej za to nie podziwiać. W milczeniu maszerowała za stukającymi dziarsko obcasikami pośredniczki, słuchała jej szczebiotliwego głosu. Starła się nawet nie zasłaniać Justinowi widoku.

Znajdowali się w kuchni umiejscowionej tuż obok jadalni na galerii. Kuchnia przypominała okręt wojenny.

- Najlepsze zostawiłam na koniec! - Ponad głową Samanty Deborah spojrzała Justinowi prosto w oczy. - Pan na pewno potrafi to właściwie ocenić.

Poprowadziła ich przez oszklone drzwi jadalni na taras. Wyciągnęła przed siebie wypielegnowaną dłoń, jakby zbudowała ten taras własnymi rękami.

Rzeczywiście był imponujący. Mieszkanie zajmowało dwa najwyższe piętra budynku. Jednakże połowa górnego piętra przeznaczona była na wielki taras, z którego rozciągał się widok na całe miasto. Tylko na południu zasłaniał go trochę wysoki hotel. Ale o dziesiątej rano na jednym końcu tarasu było słonecznie. Deborah nie omieszkała ich na to miejsce zaprowadzić.

- To wspaniale mieć słońce na tarasie! - entuzjasmowała się, jakby to był jej dom.

- Czy przez resztę dnia też jest tu słonecznie? - zapytała Samanta z niewinną miną.

Deborah spojrzała na nią z nienawiścią. Tak dobrze jej

szło czarowanie Justina. Nie życzyła sobie, żeby ktoś psuł jej robotę.

- W zimie jest go mniej. Poprzedni właściciel nie pozwolił wyciąć drzew. Są wliczone w cenę mieszkania.

- Wysoko! - skonstatowała Samanta. - Trudno będzie biegać po piłki tenisowe.

Deborah roześmiała się pobłaźliwie. Zaraz jednak spoważniała.

- No więc jak, Justinie? - zapytała, bo byli już ze sobą po imieniu. Samanta nawet nie zdążyła się zorientować, kiedy to nastąpiło. - Taka okazja nie trafia się co dzień.

Samanta bardzo się starała, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Na rynku jest zastój i aktualnie nie mamy chętnych na duże mieszkania, ale ten stan rzeczy nie potrwa wiecznie. Taki wspianiały apartament na pewno nie będzie długo czekał na kupca - przekonywała Justina Deborah. - Możesz mi wierzyć. Znam się na tym jak mało kto. Jeśli jesteś zainteresowany... Ja nikogo nie namawiam. Nie będę do ciebie wydzwaniać, ale dobrze ci radzę... - Uśmiechnęła się kusząco. - Moim zdaniem to mieszkanie bardzo do ciebie pasuje. Na pewno je polubisz i ono polubi ciebie. Mówiąc między nami, uważam, że jesteście dla siebie stworzeni.

Justin podziwiał widok. Udawał, że nie zrobił na nim wielkiego wrażenia, ale Samantę nie tak łatwo było nabrać.

- Tak - powiedział z udaną obojętnością. - Muszę się zastanowić.

Ach, ci mężczyźni! westchnęła w duchu Samanta. Uwielbiają takie rozszczebiotane kobieciątka o ptasim mózdzku. A może powinnam być zazdrosna o tę agentkę?

Po krótkim namyśle uznała, że nie powinna. Za bardzo szanowała Justina, żeby przypuszczać, że ta idiotka mogła



zrobić na nim większe niż tylko przelotne wrażenie. Te chwytaki działają pewnie na wielu ludzi. W końcu taka pośredniczka przechodzi szkolenie, na którym uczą ją, jak bajerować klientów.

W windzie Deborah raz jeszcze zapewniła Justina, że nie będzie go poganiać i nie zamierza do niego dzwonić. Twierdziła, że Justin musi mieć czas do namysłu, ale na pewno wybierze jej ofertę, ponieważ potrafi docenić wspaniałość tego lokum oraz fakt, że pojawiło się na rynku akurat wtedy, kiedy on poszukuje mieszkania.

- Dostaliśmy je zupełnie nieoczekiwanie - trąkotała. - Przedtem mieszkał tu ambasador jednego z krajów arabskich. Kiedy zrezygnował z wynajmowania, właściciel postanowił sprzedać mieszkanie i...

Samanta nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie pożegnają elokwentną pośredniczkę. Na szczęście dziewczyna była umówiona na następne spotkanie i wkrótce sama ich opuściła. Na odchodnym obiecała, że zadzwoni do Justina, gdyby znalazła jeszcze coś, co mogłoby go zainteresować.

Wyszli na ulicę. Samanta odetchnęła głęboko. Myślała, że zaraz stąd odjadą, a tymczasem Justin zatrzymał się i uważnie oglądał fronton budynku.

- Za dużo mosiadzu - powiedział. - Jak dla mnie, trochę to za nowe, ale chyba dałoby się tu żyć. To mieszkanie ma doskonałe proporcje. Nie sądzisz?

- Nie rozumiem! - Samanta była nieco zaskoczona.

- Deborah trochę przesadziła, ale w jednej sprawie ma rację. To mieszkanie nie będzie długo czekało na kupca. Ciekawe, czy Veronika znalazłaby dziś trochę czasu, żeby je obejrzeć.

- Naprawdę myślisz poważnie o kupnie mieszkania, które ma łazienkę wielkości boiska do hokeja?

- Przesadzasz. A co powiesz o tym wspaniałym tarasie?  
- Jest cudowny, tylko nie wiem, do czego mógłby ci się zrydać. Nie nadaje się do niczego poza robieniem wrażenia a gościach.

- Nie wygłupiaj się. Nie mam zamiaru na nikim robić wrażenia. A już na pewno nie za pomocą tarasu. Ale chyba miło byłoby urządzić na nim przyjęcie.

- Owszem. - Samanta się roześmiała. - Można by na nim ugościć wszystkich mieszkańców Wyspy Księcia Edwarda naraz. Nie mogę uwierzyć, że poważnie rozważasz możliwość kupienia tego mieszkania.

- To mogłaby być niezła inwestycja. Deborah ma rację. Ruch na rynku nieruchomości już się zaczyna, a takie mieszkania, jak to, zawsze będą w cenie. Na świecie jest sporo bogatych ludzi - powiedział Justin takim tonem, jakby wygłaszał prawdę objawioną

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Czy mogłabym rozmawiać z Sam?

Głos w słuchawce był miły, ale zupełnie obcy.

- To ja. Czym mogę służyć?

- Ach, więc pani jest dziewczyną! - Kobieta się roześmiała. - Trochę się bałam, że ktoś ze mnie zakpił. To imię... Mam na myśli jedyną odpowiedź, jaką dostałam.

- Czy mam przyjemność rozmawiać ze zrozpaczoną matką?

- Owszem. - Kobieta znów się roześmiała. - Jest pani bardzo domyślna. To dobrze. Nie będę musiała długo tłumaczyć, o co mi chodzi.

- A o co pani chodzi? - Samanta machinalnie przysunęła sobie notes.

- Chcę użyć podstępny wobec mojego syna. Tylko proszę nie odkładać słuchawki! Wszystko jest zgodne z prawem. Robię to tylko dla jego dobra, ale wolałabym nie mówić o tym przez telefon. Czy mogłybyśmy się spotkać? Zapraszam panią na lunch.

Miałam rację, pomyślała z satysfakcją Samanta. Zrozpaczona matka rzeczywiście chce ożenić syna. Wobec tego muszę skłamać. Nieszkodliwe kłamstwo zaoszczędzi nam obu niepotrzebnych kłopotów.

- Widzi pani, ja jestem zaręczona, więc jeśli szuka pani żony...

- To nie ma znaczenia. Pod warunkiem, że zechce pani

na jeden wieczór zdjąć pierścionek. Oczywiście, jeśli go pani ma. Czy w dzisiejszych czasach chłopcy kupują swoim dziewczynom zaręczynowe pierścionki?

- Mogę zdjąć pierścionek. - Samanta wołała nie odpowiadać na kłopotliwe pytanie. - Pod warunkiem, że nic złego z tego nie wyniknie.

- Nie będzie żadnych kłopotów. Obiecuję. Nie mam zamiaru namawiać pani na poślubienie mojego syna. Chcę, żeby ożenił się z kimś innym, ale żeby tego dokonać, muszę użyć podstępów. Pani będzie czymś w rodzaju zasłony dymnej.

Samancie zaczęło się to podobać. Zapisała w notesie: „zasłona dymna”.

- Zgoda - powiedziała. - Gdzie mam się z nim spotkać?

- Czy może jakimś szczęśliwym trafem będzie pani mogła przyjść do nas w poniedziałek?

Nie musiała nawet zaglądać do kalendarza. Gdyby umówiła się z Justinem na poniedziałek, toby o tym pamiętała.

- Owszem, w poniedziałek jestem wolna. Czy wtedy odbędzie się ten rodzinny obiad?

- W zasadzie powinnam zaprosić panią na niedzielę, ale najlepiej by było, gdyby mogła pani przyjść w poniedziałek. Czy pani narzeczony nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Na pewno nie.

Gdyby chodziło o niedzielę, Samanta musiałaby to najpierw ustalić z Justinem, ale zajęcia w poniedziałki mogła planować samodzielnie.

- Rozumiem. Pewnie spotykacie się w niedzielę. Czy mogłybyśmy się dziś zobaczyć? O której ma pani przerwę obiadową?

- W każdej chwili.

- Czy pani jest bezrobotna? - spytała niepewnie zrozpaczona matka.

- Nie. - Samanta uśmiechnęła się. - Jestem felietonistką. Piszę dla kilku czasopism.
- Bardzo interesujące - ucieszyła się zrozpaczona matka.
- Dobrze się składa. Jest pani dokładnie taką osobą... Nie ważne. Wszystko powiem, kiedy się spotkamy. Gdzie pani jest w tej chwili?
- W pobliżu Uniwersyteckiej.
- Naprawdę? Mieszkałam tam wiele lat temu. To bardzo ruchliwe miejsce. Czy na rogu Uniwersyteckiej i Szkolnej jest jeszcze taka mała włoska knajpka?
- Jest. Ja zresztą często tam chodzę. Ale nie jest już włoska, tylko wschodnia.
- Doskonale. Bardzo lubię wschodnią kuchnię. Możemy się tam spotkać? Dzisiaj czy jutro?
- Dzisiaj. - Ciekawość Samanty sięgnęła szczytu. - Może być o pierwszej?
- Idealnie. Wobec tego do zobaczenia. Ach, byłabym zapomniała. Ja mam na imię Miranda.

Był piękny październikowy dzień. Na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Spacer po szeleszczących liściach sprawiał Samancie niekłamana przyjemność. Zawsze uważała, że jesień to obiecująca pora roku. Może dlatego, że jesienią zaczynał się nowy rok szkolny, a może dlatego, że czuła się tak, jakby miało się w jej życiu zdarzyć coś bardzo ważnego.

Samanta włożyła żółty żakiet, który jak ulał pasował do pięknego dnia. Włosy opadały jej na ramiona. Zawsze, kiedy nie wychodziła z Justinem, czesała je w ten sposób. Czuła się wtedy wolna. W takich chwilach wydawało jej się, że wystarczy, aby sobie czegoś zażyczyła, a świat natychmiast rzuci jej to do stóp. Ponieważ była przesadna, zażyczyła sobie, tak, na wszelki wypadek, gdyby przypadkiem

w pobliżu znajdował się jakiś anioł i tylko czekał, aż ona wypowie życzenie.

- Miłość - powiedziała cicho do tego właśnie aniołka. Pomyślała o Justinie i uśmiechnęła się. Oczywiście, wiedziała, że kocha Justina, ale... - Chciałabym naprawdę poczuć, że go kocham, że na całym świecie nie ma dla mnie nikogo ważniejszego.

Przez ten spacer i te marzenia spóźniła się kilka minut. Ale w kawiarni nie było nikogo, kto przypominałby zrozpaczoną matkę usiłującą ułożyć życie swemu niewydarzonemu dziecku. Samanta zamówiła kawę i usiadła przy pustym stoliku. Wyciągnęła z torby gazetę. Jak zwykle zaczęła lekturę od ogłoszeń...

- Czy pani ma na imię Sam?

Samanta opuściła gazetę. Spojrzała na stojącą obok niej kobietę. Uśmiechnęła się.

- Tak, to ja. A pani pewnie jest Mirandą.

- Ależ pani jest ładna! Zupełnie nie w typie Bena, ale naprawdę śliczna! Prawdę mówiąc... Ach, zapomniałam przeprosić za spóźnienie.

- Nic nie szkodzi. - Samancie ta kobieta coraz bardziej się podobała. - Ja też się spóźniłam.

- Ben jest moim najstarszym synem - opowiadała Miran-  
- . - To bardzo miły chłopiec. Proszę mnie źle nie zrozumieć... On jest trochę inny. Wszyscy moi synowie są już naci. Oprócz Jude'a, ale on ma dopiero osiemnaście lat. ej starsi dość szybko się poženili, ale nie Ben.

- Ile lat ma Ben?

- Trzydzieści. Niedługo skończy trzydzieści jeden. Widzisz, Sam... Czy mogę mówić do pani po imieniu? Nie chcę go ponaglać, ale uważam, że już najwyższy czas. Jeśli teraz

ny? Nie, Ben nie jest przystojny. Przede wszystkim dlatego, że nie jest wysoki. Już samo to dyskwalifikuje go w oczach dziewcząt szukających księcia z bajki.

Biedny Ben, pomyślała Samanta. Facet jest nieprzystosowany, brzydki i uparty. Trudno się dziwić, że żadna go nie chce. Ciekawe, jak zarabia na życie.

- Czym on się zajmuje? - zapytała.

- Robi zdjęcia. Przeważnie.

- A co fotografuje?

- Ludzi. Kiedyś mi powiedział, że lubi fotografować ludzi w chwilach przełomowych. Nazywa to rytuałem przejścia. Jest naprawdę dobry w tym, co robi.

Teraz Samanta wiedziała o nim wszystko. Facet jest nieprzystosowanym, brzydkim i upartym fotografem. Specjalistą od zdjęć ślubnych. Trudno się dziwić, że żadna dziewczyna go nie chce.

- Czy stosuje jakieś triki? - zapytała.

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, czy fotografuje przez pończochę albo smaruje soczewki wazeliną, żeby zdjęcie miało taką romantyczną mgiełkę.

- Skądże! - obruszyła się Miranda. - Wprost przeciwnie. Jego zdjęcia są zawsze bardzo ostre, przejrzyste. Nieostre bywają tylko wtedy, kiedy ktoś się poruszy. Kiedyś nawet go o to zapytałam. Powiedział, że ruch czasami coś wyraża i dla tego efektu warto poświęcić ostrość zdjęcia.

- No to chyba wiem wszystko. - Samanta się uśmiechnęła.

Miranda postawiła na stoliku filiżankę z kawą. Zaczęła opowiadać.

- Próbowałam zainteresować Bena różnymi kobietami,

ale teraz wydaje mi się, że znalazłam tę, której szukał. Judith jest dokładnie taka, jaka powinna być. Postanowiłam, że tym razem przechytrzę Bena. Dlatego nie mam zamiaru mu o niej wspominać. Opowiem mu o tobie.

- Ach, tak! Chyba zaczynam rozumieć.

- Dlatego i ty, i Judith musicie być u nas na obiedzie. Razem. Na pewno możesz przyjść w poniedziałek? - upewniła się Miranda. - Bo jeśli twój narzeczony miałby coś przeciwko temu, to możemy odłożyć to spotkanie. Nie chciałabym zepsuć wszystkiego tylko dlatego, że w ostatniej chwili powiesz, że jednak nie możesz przyjść.

- Nic takiego się nie zdarzy. Obiecuję.

- A twoja rodzina? Oni też nie będą mieli nic przeciwko temu?

Samanta już wiedziała, że Miranda ma fioła na punkcie życia rodzinnego.

- Nie mam rodziny - powiedziała. - Rodzice i dziadkowie nie żyją, a mój brat buduje mosty na drugim końcu świata.

- Moje biedactwo - rozczuliła się Miranda. - Tak mi przykro. Wobec tego bardzo się cieszę, że w poniedziałek będziesz z nami! Ale dlaczego twój narzeczony... Zresztą, nieważne. To w końcu nie moja sprawa. Przyjdź na pewno. Nawet gdyby Bena nie było.

- Na pewno przyjdę - zapewniła ją Samanta. - Może pani spokojnie zaprosić Judith. Ajak to ma się odbyć?

- Dlaczego ty mi mówisz „pani”, dziecko? Mam na imię Miranda! Naprawdę nie możesz mówić do mnie po imieniu?

- Ależ mogę! Oczywiście, że mogę. Bardzo chętnie - ucieszyła się Samanta. Naprawdę polubiła tę szaloną matkę.

- Powiedz mi, jak chcesz zrealizować swój szatański plan.

- Opowiem Benowi o tobie. Powiem, że spotkałam prze-



miłą młodą kobietę, która pisze felietony do różnych czasopism. Mam nadzieję, że go to zainteresuje, bo w końcu oboje jesteście ludźmi sztuki i powinniście się lepiej rozumieć. O Judith nawet nie wspomnę. Może powiem tylko tyle, że Ella, żona Matta, przyprowadzi swoją koleżankę, która niedawno przyjechała z Vancouveru i na stałe zamieszkała w Toronto. Biedactwo, nie ma dokąd pójść. Była u nas raz na obiedzie, ale Bena wtedy nie było. No i naprawdę jest przyjaciółką Elli. Ale tak się składa, że jest też córką mojej dawnej koleżanki. Vancouver to małe miasto.

- A co ja mam robić?

- Posadzę Bena pomiędzy tobą i Judith. On będzie myślał, że chcę, aby się tobą zainteresował. Ponieważ jest uparty, zignoruje cię i zajmie się Judith.

To jakiś kompletny idiota, pomyślała Samanta. Nic dziwnego, że tak trudno go ożenić. Bogu dzięki, że nie jestem w jego typie. Ciekawe, jak wygląda ta cała Judith.

- Tylko tyle? - zapytała.

- Tak. Może tylko... Gdyby jednak się do ciebie odezwał... Czy mogłabyś udawać, że on ci się podoba? Tylko troszeczkę. Mój Ben nienawidzi adoratorek.

Biedna Judith, pomyślała Samanta. Mieć za męża takiego głaba!

- No więc, gdybyś mogła... Spróbuj patrzeć na niego tak, jakbyś go bardzo podziwiała. Wiesz, niektóre kobiety chcą od mężczyzny pieniędzy, a innym wystarczy, że ich mężczyzna odnosi sukcesy... Rozumiesz, o co mi chodzi? A są i takie, które chcą tylko znaleźć męża. Nieważne jakiego, byleby był. Nawet w dzisiejszych czasach! Tego Ben najbardziej nienawidzi. Gdybyś mogła choć trochę poudawać...

- Przez cały wieczór będę się w niego wpatrywać jak w obraz - zapewniła ją Samanta.

- Jesteś kochana! - Miranda roześmiała się. - Zaczynam żałować... Nieważne! Judith będzie dla Bena idealną żoną.

- Może powinnam mu wcisnąć swój numer telefonu? - Samanta zaczynała się powoli wciągać w tę intrygę. Nie mogła się doczekać poniedziałku.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Nie wiedziałam, czy mogę cię o to prosić, ale widzę, że sobie poradzisz. Każę Benowi odwieźć cię do domu. On, oczywiście, wynajdzie tysiąc powodów, żeby tego nie zrobić. Czy mogłabyś nie przyjeżdżać swoim samochodem? Zapłacę za taksówkę. Mogłabyś powiedzieć, że samochód jest w warsztacie, albo że go nie wzięłaś, żeby móc się napić...

Miranda na chwilę przestała mówić, zaskoczona własną pomysłowością.

- Umiesz udawać pijaną? - zapytała. - Byłoby świetnie, gdybyś udawała pijaną. Albo może naprawdę trochę sobie pofolguj. Nie będę miała nic przeciwko temu. Pod warunkiem, że nie zdradzisz mnie przed Benem. Mogłabym ci wtedy zabronić prowadzenia samochodu i kazać Benowi, żeby cię odwiózł.

- Nie chciałabym udawać pijanej - powiedziała Samanta.

- Przyjadę taksówką. Powiem, że urwał mi się tłumik.

- Doskonale! - ucieszyła się Miranda.

- Ale nie rozumiem, o co chodzi z tym odwożeniem mnie do domu. Przecież Ben odmówi.

- Sę w tym, że Judith mieszka niedaleko domu Bena. Ty odjedziesz do domu taksówką. Wkrótce potem zadzwoni do Elli sąsiadka i oboje z Mattem będą musieli zaraz wyjść. Mieszkają w drugim końcu miasta i będzie im nie po drodze odwozić Judith. Zwłaszcza że będą się spieszyli. Wtedy poproszę Bena, żeby ją odwiózł.

- Odmówi. Przecież powiedziałaś, że jest uparty.

- Nie rozumiesz? - Miranda uśmiechnęła się. - Przede wszystkim nie przyjdzie mu do głowy, że chcę go swatać z Judith. Poza tym wyczerpie limit uporu, kiedy odmówi odwizienia ciebie. Teraz rozumiesz?

- Trochę. - Samanta była oszołomiona. - Czy to znaczy, że wszyscy jesteście w zмовie? Ella, Matt, Judith i ta sąsiadka?

- Tylko Ella i ja. No i oczywiście ty. Moje następne dwie synowe, Alice i Carol, nic o tym nie wiedzą. Zwłaszcza Carol. Ona na pewno powiedziałaaby o wszystkim Luke'owi, a on uprzedziłby Bena. A Judith nie trzeba o niczym mówić. I tak nie może się już doczekać, kiedy pozna Bena. Nie chciała-bym, żeby zachowywała się jak kobieta, która ma błogosławieństwo przyszłej teściowej i szwagierki, bo nic by z mojej intrygi nie wyszło. Nawet ty byś mi nie pomogła. Ella poprosiła swoją sąsiadkę, z którą zresztą od lat się przyjaźnią, żeby zadzwoniła do nas około północy. Tylko tyle. Ella załatwi resztę. Czy ja już wszystko powiedziałam? - zastanowiła się Miranda. - Aha! Ty musisz oznajmić, że chcesz iść do domu jakieś piętnaście minut przed północą i żeby ci sprowadzić taksówkę. Potem ja wezmę sprawy w swoje ręce. Oczywiście będę cię namawiać, żebyś jeszcze została, ale...

- Ale mój chory kot będzie cierpiał, jeśli choć chwilę dłużej zostanie sam.

Miranda znów się roześmiała. Miała zaraźliwy śmiech. Samanta pomyślała, że nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby trafiła jej się taka teściowa. Ale zaraz przypomniała sobie o nieszczęsnym Benie, który nawet ślubnej fotografii nie umie zrobić porządnie.

Szkoda, że wszyscy inni synowie Mirandy są już żonaci, pomyślała. Oprócz tego przystojnego Jude'a, który ma dopiero osiemnaście lat.

- Widzę, że będzie się nam razem świetnie pracowało - powiedziała Miranda. - Nie mogę się doczekać poniedziałkowego przedstawienia. Żałuję nawet, że masz tylko odwrócić uwagę Bena od prawdziwej kandydatki na żonę.

- Ja też trochę żałuję. - Samanta uśmiechnęła się do niej.  
- Zastanawiam się nawet, czy nie poczekać na Jude'a.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Ben? To ja.  
- Cześć, mammo.  
- Co u ciebie?  
- Chcesz wiedzieć, co mi się przydarzyło od ostatniego niedzielnego obiadu? Nie znalazłem odpowiedniej kandydatki na żonę i nikomu się przez ten tydzień nie oświadczyłem. A może ty mi kogoś znalazłaś?

- Nie wiem, o czym mówisz, syneczku!  
- Nie udawaj. Zawsze masz taki słodki głosik, kiedy czegoś ode mnie chcesz. A ponieważ oboje wiemy, czego pragniesz, więc lepiej od razu powiedz, kto to jest i kiedy mam się stawić na widzenie.

Miranda wiedziała, że Ben z niej żartuje. Twierdził, że to czarujące, kiedy kobieta o tak bogatej przeszłości erotycznej robi, co w ludzkiej mocy, żeby wszystkie jej dzieci pożeniły się jak Pan Bóg przykazał. Zawsze powtarzał, że nawet nie może się na nią o to gniewać. Kpił z niej w żywe oczy, co w zasadzie było niezwykle irytujące, lecz tym razem Miranda miała zamiar go przechytryć.

- To naprawdę bardzo miła dziewczyna - powiedziała. - Ju... -zakasłała, chcąc zatuszować przejęzyczenie. - Jagger. Nazywa się Sam Jagger.

- Ben i Sam. To mi się nawet podoba. Będziemy świetną parą. Tym razem chyba ci się udało! Ile czasu potrzebujesz na wydrukowanie ślubnych zaproszeń?

- Nie kpij ze mnie. To naprawdę wspaiała dziewczyna. Niezwykła. Bardzo bym chciała, żebyście się poznali. Przyjdzie do nas w poniedziałek.

- Rozumiem, że ja też mam przyjść?

- Przecież obiecałeś. - Miranda się przestraszyła. Nie rozumiała, co się dzieje z jej najstarszym synem. Nigdy przedtem nie mówił do niej takim tonem. Jakby perspektywa spotkania jeszcze jednej obcej kobiety, którą matka przeznaczyła mu na żonę, doprowadzała go do rozpacz. - W końcu to jest Święto Dziękczynienia! Powiedz, że przyjdiesz.

Nikt lepiej od Mirandy nie wiedział, że jeśli Ben naprawdę czegoś nie chciał, potrafił tego uniknąć. Nie fatygowalby się nawet, żeby skłamać, iż właśnie musi pojechać do Serbii. Po prostu powiedzialby, że nie przyjdzie.

- Dobrze, przyjdę. - Ben westchnął ciężko. - Chciałbym choć raz usiąść do rodzinnego obiadu i nie myśleć o tym, że ty już się zastanawiasz, ile będę miał dzieci. Zwłaszcza gdy się to dzieje na oczach jakiejś obcej kobiety, która nawet patrzeć na mnie nie może.

- Dlaczego mówisz takie rzeczy? Przecież to nieprawda. Kobiety za tobą przepadają. To ty ich nie lubisz.

- Skoro o tym wiesz, to mogłabyś mi wreszcie pozwolić, żebym sam sobie którąś wybrał.

- Już próbowałam. Zapomniałeś? Dwa lata temu dałam ci cały rok na poszukiwania. I co? I nic!

Ben się roześmiał.

- Dlaczego się ze mnie śmiejesz?

- Przepraszam, mam - tłumaczył się Ben. - Jesteś nie-reformowalna.

- To zupełnie wyjątkowa dziewczyna - broniła się Miranda. - Jest pisarką. A raczej dziennikarką. Zobaczysz, że ci się spodoba.

Była zadowolona, że przynajmniej w tej jednej sprawie nie musi kłamać. Choć gdyby musiała, skłamałaby bez wahania. Na szczęście Samanta naprawdę była wspaniałą dziewczyną.

- Dziennikarka? - zainteresował się Ben. - A gdzieś ty ją poznała?

Miranda pobladła. Czuła, że coś przeoczyła. Zupełnie zapomniała omówić tę sprawę z Samantą. Po prostu wyleciało jej to z głowy. Teraz na gwałt musiała szukać jakiegoś wyjaśnienia.

- Chciała przeprowadzić ze mną wywiad! - Poczwała, że wpadła na doskonały pomysł. - Przygotowuje cykl wywiadów pod tytułem „Co się z nimi dzieje”, czy coś w tym rodzaju. Dokładnie nie pamiętam.

- A dlaczego akurat z tobą? - zdziwił się Ben.

- No bo... - Miranda tylko troszeczkę się jąkała. - To są wywiady z ludźmi, którzy występowali w premierowym przedstawieniu „Hair”. Dawne czasy - roześmiała się, choć bardzo się bała, żeby Ben nie domyślił się, iż go oszukuje.

- Uwielbiasz mówić o tamtych czasach. - Ben nie był zadowolony. - Ciekawe, jak ci się udało podsunąć mnie tej dziennikarce.

- Właściwie nic jej o tobie nie mówiłam - kłamała z zapamiętaniem Miranda. - Ja ją tylko zaprosiłam do nas na obiad. Nie ma żadnej rodziny, więc się zgodziła. To naprawdę miła dziewczyna. Sam się przekonasz. I przestań, proszę wznosić oczy ku niebu.

- A skąd wiesz, że wznoszę oczy do nieba?

- Słyszę.

Po spotkaniu z Mirandą Samanta jeszcze trochę powłóczyła się po mieście. Po drodze zrobiła zakupy, ale i tak

straciła sporo czasu. Obawiała się, że nie zdąży na czas z artykułem dla Phila. Atu jeszcze Justin nagrał wiadomość na automatycznej sekretarce. Powiedział, że chce się z nią umówić na weekend i że zadzwoni około szóstej.

Zadowolona, że majeszcze trochę czasu, usiadła do komputera. Ale robota jakoś się jej nie kleiła. Myślała o Mirandzie i o ślubnych zdjęciach, które robi ten jej nieszczęsny Ben. Wyobraziła sobie, jak tłumaczy, że nieostre zdjęcie spowodowane poruszeniem się panny młodej to samo życie i że na tym właśnie polega prawdziwa sztuka.

Roześmiała się głośno. Zadzwonił telefon.

- Sam? Mówi Miranda Harris - usłyszała w słuchawce sympatyczny głos. - Ben zgodził się przyjść w poniedziałek. Czuję się jak prawdziwy spiskowiec. Czy możesz przyjść o wpół do siódmej?

- Mogę. Na pewno będę.

- Powiedziałam Benowi, że przedstawię mu bardzo miłą dziewczynę.

- Jak to zniósł?

- Wznosił oczy ku niebu, ale obiecał, że przyjdzie.

- Ajeśli nie przyjdzie?

- Tego mi nie zrobi. Na pewno nie Ben. Obiecał przyjść, więc przyjdzie. Wie, że cała rodzina będzie na niego czekać. Ach, widzisz, znów bym zapomniała. Nie ustaliłyśmy, w jaki sposób się poznałyśmy.

- To rzeczywiście kłopot. Musimy prędko coś niewiarygodnego wymyślić.

- Już wymyśliłam. Ben mnie o to zapytał i musiałam wykombinować coś na poczekaniu. Teraz już obie musimy się trzymać tej wersji. Powiedziałam, że postanowiłam zrobić ze mną wywiad do cyklu „Co się z nimi dzieje”. To mają być wywiady z ludźmi, którzy występowali w premierowym



przedstawieniu „Hair” wystawionym w Toronto. Zupełnie nie wiem, czym ty się zajmujesz. Czy mogłabyś coś wykombinować, żeby moja wersja okazała się prawdopodobna?

- Byłaś w pierwszej obsadzie „Hair”? - zdumiała się Samanta. - Jak to było? Naprawdę rozbieraliście się do naga na scenie? W tamtych czasach było to pewnie bardzo szokujące.

- To wcale nie było tak dawno! - Miranda roześmiała się serdecznie. - Zaledwie dwadzieścia pięć lat temu.

Samanta ściągnęła z Internetu kilka recenzji z pierwszego przedstawienia „Hair” wystawionego w Toronto. Nie o wszystkich wykonawcach pisano w gazetach. W jednej z nich wspomniano, że Miranda Martin ma bardzo mocny, przenikliwy głos. Tyle musiało Samancie na razie wystarczyć. Zresztą pocieszała się, że jeśli Judith prawidłowo odegra swoją rolę, to ona sama nie będzie musiała wcale rozmawiać z Benem.

Przeglądała kolejne wydania gazety, czytając dziwy o świecie, na którym się pojawiła dwadzieścia pięć lat temu. Nie mogła się opanować. Dotarła do roku siedemdziesiątego dziewiątego. Znalazła ten straszny nagłówek: „Siedemdziesiąt dwie osoby zginęły w katastrofie lotniczej”.

Samanta patrzyła na litery. Przypomniała sobie, jak bardzo była pewna, że te dwie osoby to jej rodzice, a siedemdziesiąt, to inni pasażerowie. „Dwie osoby”... To oznaczało Andrew i Donnę Jaggerów, którzy lecieli na konferencję do Stanów Zjednoczonych. Na trzy dni swojej nieobecności rodzice zostawili Samantę i Ezrę u przyjaciół. Właśnie tam dzieci dowiedziały się z telewizji o śmierci rodziców.

Od tamtej pory Samanta i jej brat nie przespali ani jednej nocy we własnych łóżkach. Mieszkali u przyjaciół swoich

rodziców, dopóki nie sprzedano ich rodzinnego domu, nie spakowano ich rzeczy i nie wysłano do dziadków, którzy mieszkali w Toronto.

Samanta wyszła z Internetu. Musiała. We wtorek o dziesiątej rano miała oddać Philowi artykuł. Tysiąc pięćset słów, z których nie napisała jeszcze ani jednego. Zupełnie nie wiedziała, od czego zacząć. Dzwoniący telefon wybawił ją z opresji.

- Cześć - powitał ją Justin. - Pracujesz?

- Tak - westchnęła. - Ślęczę nad tym bzdetem dla Phila. O tym, czy biała bawełniana bielizna podnieca mężczyzn.

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć? - roześmiał się Justin. - Dlaczego się tego w ogóle podjęłaś?

- Ponieważ muszę z czegoś opłacić czynsz. Czy możemy skończyć rozmowę na ten temat? I bez tego mam dość kłopotów. Nie wiem, czy biała bawełniana bielizna rzeczywiście podnieca mężczyzn.

- Ja wolę czarną satynę. Między innymi w tej sprawie do ciebie dzwonię. Kupiłem ci coś ładnego na weekend. Czy wolisz wyjechać w piątek, czy w sobotę rano?

- Na weekend? - zdziwiła się Samanta.

- Chyba nie zapomniałaś, że na Święto Dziękczynienia wyjeżdżamy nad rzekę?

- Święto Dziękczynienia? - powtórzyła przerażona Samanta. - Czy to już w tym tygodniu?

- Moja kochana Samanta! Święto Dziękczynienia wypada w drugi poniedziałek października. Zawsze tak było.

- O Boże wielki! Co ja narobiłam!

Dopiero teraz Samanta zrozumiała, co miały znaczyć te wszystkie dziwaczne pytania Mirandy: Czy możesz przyjść w poniedziałek? Czy narzeczony nie będzie miał nic przeciwko temu? Gdzie jest twoja rodzina?

- Mam nadzieję, że nie zrobiłaś nic takiego, czego nie dałoby się naprawić - powiedział Justin z wyższością człowieka nieomylnego. - Moja rodzina nas oczekuje. Jeszcze w sierpniu umówiliśmy się z nimi na ten wyjazd.

- O Boże, Boże! - jęczała Samanta. - A ja jej obiecałam! Taka byłam pewna.

- Czy mogłabyś mi powiedzieć, o co chodzi?

Samanta spojrzała na pusty ekran monitora. Miała nadzieję, że stamtąd spłynie na nią natchnienie. Za żadne skarby świata nie powiedziała by Justinowi prawdy o swoich poniedziałkowych zobowiązaniach. Uznałby, że oszalała, skoro wdała się w taką historię. Zresztą ona też miała wrażenie, że postradała zmysły.

- Muszę skończyć ten artykuł - powiedziała z całą stanowczością, na jaką zdołała się zdobyć. - Czy jeśli z tobą pojedę, to zdążę wrócić w poniedziałek na czwartą po południu?

- Jeśli pojedziesz? Co to wszystko ma znaczyć? W poniedziałek o pierwszej siadamy do świątecznego obiadu. Wątpię, żeby zdążył się skończyć przed czwartą.

- Wobec tego na piątą. Zdążymy?

- Trzeba będzie przebukować bilety - narzekał Justin.

Był na nią zły. Ale przecież obiecała Mirandzie. Ta kobieta zaprosiła na obiad i Judith, i Bena, więc Samanta nie mogła się teraz tak po prostu wycofać. Tymczasem rodzinie Justina ani trochę nie zależało na jej obecności. Tylko jemu byłoby przykro, gdyby z nim nie pojechała. Nikomu więcej. No, może jeszcze Simone.

- Wiem, Justinie, ale zapomniałam, że Święto Dziękczynienia jest już w tym tygodniu. Przecież mógłbyś wrócić wcześniej razem ze mną. No powiedz, że możesz.

Justin, oczywiście, twierdził, że nie może, lecz Samanta była nieugięta. Nie wiedziała, dlaczego to robi, lecz nie dała

mu się przekabacić. Po raz pierwszy w życiu stanowczo obstawała przy swoim. Zawsze mu ustępowała. Bo zawsze w każdej sprawie miała wrażenie, że jemu bardziej na czymś zależy aniżeli jej. Był przy tym taki elokwentny, że potrafił obalić nawet najpoważniejsze argumenty. Ale tym razem było inaczej. Samanta nie mogła i nie chciała zawieść sympatycznej Mirandy.

Letni dom McCourtów stał nad Rzeką Francuską. Był prawie tak samo elegancki jak ich dom w Toronto, tyle że urządzony na wiejską modłę. Jedyna istotna różnica polegała na tym, że letni dom był wygodny. W pokoju dziennym dominował wielki kamienny kominek. Wokół niego ustawiono miękkie sofy i fotele. Kuchnia była duża, dobrze wyposażona i nawet trochę staroświecka. Kuchenka, lodówka, zmywarka do naczyń, a nawet kredens znajdowały się dokładnie w tych miejscach, w których być powinny.

Na pierwszy rzut oka było widać, że tego domu nie urządziła Veronika. Ojciec Justina kilka lat temu odziedziczył go po swoich rodzicach. Od tamtej pory niczego tu jeszcze nie zmieniono.

Samanta jednak nie czuła się tam dobrze. Uwielbiała rzeckę, zapach lasu, ciszę i kołyszącą się na falach łódkę, ale nie miała wrażenia, że jest u siebie. Bynajmniej nie dlatego, że McCourtowie zbyt elegancko się ubierali i za bardzo przestrzegali etykiety. Zachowywali się właściwie tak samo, jak zachowują się w swych letnich domach wszystkie kanadyjskie rodziny. Nie chodziło nawet o to, że rozmowa zawsze schodziła na temat literatury lub sztuki.

Samanta pewnie dlatego źle się tam czuła, że letni dom McCourtów przypominał jej dom dziadków, w którym razem z bratem zamieszkali po śmierci rodziców. Od tamtej pory minęło szesnaście lat. A jednak jakieś wspomnienie, zapach

czy dźwięk sprawiały, że Samanta miała wrażenie, jakby działo się to zaledwie przed tygodniem. Dom dziadków tak naprawdę wcale nie był niemiły. Był inny. Brakowało mu przyjaznego chaosu, jaki panował w rodzinnym domu Samanty. U dziadków każdy przedmiot miał swoje miejsce i zawsze na swoje miejsce musiał wrócić.

Z powodu niewytłumaczalnego kaprysu Samanty świąteczny obiad przesunięto z poniedziałku na niedzielę. Samanta była McCourtom wdzięczna za tę zmianę. Przede wszystkim dlatego, że trudno by jej było przełknąć dwie porcje indyka jednego dnia. A Miranda na pewno serwowała w Święto Dziękczynienia największego indyka, jakiego udało jej się kupić.

Potem jednak okazało się, że niepotrzebnie się martwiła. Święta u McCourtów nie były urządzone w sposób tradycyjny. Nie serwowano ani indyka, ani szynki, ani nawet kurzego skrzydełka. Veronika hołdowała zasadom minimalizmu nie tylko w sztuce dekoracji wnętrz, ale także w sztuce kulinarnej.

Na przystawkę podała szparagi polane topionym masłem. Potem była ryba w jakimś eleganckim sosie, maleńkie kuleczki ziemniaczane i plasterek marynowanej papryki. Na koniec podano zieloną sałatę, sery i krakersy. Na deser - kawę i eleganckie malutkie wafelki. Oczywiście były dwa gatunki bardzo drogiego wina i prawdziwy koniak do kawy.

Po obiedzie rodzina zasiadła do brydża. Siedzieli prawie nieruchomo przez kilka godzin. Samanta przez chwilę przyglądała się grze, ale zrezygnowała, kiedy zorientowała się, że ani rozmowa jej nie dotyczy, ani rozmówcy nie tęsknią do jej towarzystwa.

No i dobrze, pomyślała. Mam za sobą ciężki tydzień, a na dodatek jeszcze ten przeklęty artykuł dla Phila...

Tuż po północy położyła się spać, ale nie mogła zasnąć. Myślała. Najsilniejszym uczuciem, jakiego doświadczała, przebywając z rodziną Justina, była samotność.

A przecież - jeśli sprawy potoczą się tak, jak przypuszczam - ci wszyscy ludzie pewnego dnia staną się moją rodziną, pomyślała, zanim zapadła w sen.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

W pokoju było tłoczno, hałaśliwe i pachniało pieczonym indykiem. Ogromny stół, ustawiony w jadalni i w pokoju dziennym, do minimum zmniejszał dostępną ludziom powierzchnię. A przecież oprócz dorosłych było tu jeszcze kilkoro małych dzieci i parę raczkujących niemowląt.

- Tak się cieszę, że przyszedłaś! - powiedziała Miranda, pomagając Samancie się rozebrać. Rzuciła jej płaszcz na kanapę, gdzie już piętrzył się okazały stos okryć. - Ależ ty ślicznie wyglądasz! - Dotknęła lśniącej czerwonej sukienki. - Czysty jedwab! Przepiękny! Powinnaś częściej tak się ubierać.

Samanta poprawiła przed lustrem sukienkę, zaczesła włosy do tyłu. Zadzwończyły złote koła w uszach.

- Istny dom wariatów - usprawiedliwiała się Miranda - ale u nas tak zawsze. Ben jeszcze się nie zjawił. Może to i lepiej. Zdażysz poznać resztę rodziny. Judith też już jest. Będzie ekstra, zobaczysz!

Samanta weszła niepewnie do zatłoczonego pokoju.

- A, jesteś tu, Carol - zawołała Miranda, wyławiając z tłumu śliczną kobietę w ostatnim miesiącu ciąży. Kobieta miała długie, jasne włosy i ani śladu makijażu. - To jest Sam, ta dziennikarka, o której ci opowiadałam. Carol jest żoną Luke'a, mojego trzeciego syna.

- Cześć! - powitała ją Carol. - A więc to ty jesteś Sam.

Miranda wciąż tylko o tobie mówi. To znaczy, że tym razem ciebie wynalazła dla Bena.

- Dajże spokój, Carol - skarciła ją Miranda. - Nie strasz jej. Sam zje z nami świąteczny obiad, bo jej brat prowadzi budowę w jakimś arabskim kraju. Ella, chodź do nas! Przedstawię cię Samancie.

Ella była chyba jeszcze ładniejsza od Carol. Samanta pomyślała, że nieładni synowie Mirandy potrafili znaleźć najpiękniejsze na świecie żony.

- Ella właśnie kończy pisać pracę doktorską na temat ekonomii rosyjskiej - wyjaśniła Miranda. - Obiecała, że po obronie pracy dorzuci do mojej kolekcji kilkoro wnuków.

A więc jest nie tylko ładna, ale i mądra, pomyślała Samanta. Nie mogła się dość nadziwić tej niecodziennej kombinacji.

- Nie tak od razu - zastrzegła się Ella.

- Przecież wiem, że nie od razu. To trwa co najmniej dziewięć miesięcy. - Miranda zwróciła się do Samanty: - Nie będę cię przedstawiać każdemu po kolei, bo i tak zaraz zapominałabyś wszystkie imiona. Na razie przyzwyczaj się do Elli i Carol. Do końca wieczoru na pewno zdołasz poznać pozostałych. Tak będzie przyjemniej.

- Miranda nam powiedziała, że jesteś dziennikarką. O czym piszesz? - zapytała Ella, kiedy zostały same.

- O wszystkim, o czym mi każą pisać - Samanta uśmiechnęła się smutno. - Teraz właśnie usiłuję wymyślić tysiąc pięćset słów o tym, czy biała bawełniana bielizna podnieca mężczyzn, czy nie podnieca. Mam to oddać jutro rano, a napisałam dopiero pięćset słów. Będę musiała wcześniej wyjść. Mam nadzieję, że Miranda się nie pogniewa.

Wiedziała, oczywiście, że Miranda nie będzie się gniewać. W tym punkcie ich plany idealnie się ze sobą pokrywały. Wołała jednak od razu zaprezentować swoją wymówkę.



Dzięki temu zabrzmiała ona bardziej wiarygodnie, kiedy trzeba będzie wzywać taksówkę.

- A to historia! - Carol aż klasnęła w ręce z uciechy.
- Może będziemy ci mogły jakoś pomóc.

Carol wyciągnęła z tłumy wysokiego i wcale niebrzydkiego mężczyznę. Nie był może taki przystojny jak Justin, ale na pewno nie dało się o nim powiedzieć, że jest brzydki. Miał bardzo jasne włosy, roześmiane szare oczy, tors jak betonowa ściana i udajak pnie drzew. A przecież Miranda mówiła, że żaden z jej synów nie jest przystojny.

- To jest Luke, mój mąż - powiedziała Carol. - A to jest Samanta, ta dziennikarka, o której Miranda tyle nam ostatnio opowiadała.

- Cześć! - zawołał olbrzym i uśmiechnął się do Samanty.

Podawała mu rękę z niejaką obawą. Zdziwiła się, bo uściskał ją bardzo delikatnie.

- Sam pisze artykuł o tym, czy biała bawełniana bielizna podnieca mężczyzn. Jak to jest? - zapytała Carol swego męża.

- To zależy od mężczyzny - odparł Luke. A po chwili namysłu dodał: - No i od tego, jak bardzo biała jest ta bielizna. Jeśli ma podniecać, musi być całkiem nowa.

- To mi się podoba - ucieszyła się Samanta. - Naszym ogłoszeniodawcom też na pewno się spodoba. Oni bardzo lubią, kiedy radzimy czytelnikom, że powinni sobie coś kupić. Czy mogę wykorzystać w tekście twoją opinię?

- Jasne. - Luke znów się uśmiechnął. - Koniecznie napisz, że im ładniejsza modelka, tym bardziej podniecająca jest jej bielizna. I napisz...

Nie dokończył, bo właśnie ktoś zadzwonił do drzwi.

- To na pewno Ben! - Miranda wynurzyła się z kuchni tylko po to, żeby otworzyć drzwi.

Serce Samanty zaczęło bić szybciej, choć nie miało po temu żadnego powodu. Wytłumaczyła sobie, że to pewnie trema. Tego dnia była aktorką i miała dobrze odegrać swoją rolę.

- Świetnie, że jesteś, Ben! Nie, prawie wcale się nie spóźniłeś - zapewniała syna Miranda. - Co to za płaszcz wiatrem podszyty! Czy tobie naprawdę nie jest zimno?

- Jak zwykle przesadzasz, mamó - rozległ się miły, niski głos. - To Święto Dziękczynienia. Do Bożego Narodzenia jeszcze daleko.

- Wiem, ale ty jesteś taki chudy. Nie czujesz zimna?

- Nie, nie czuję zimna.

Powiedział to takim tonem, że nietrudno było się domyślić, że się uśmiecha. Po chwili Miranda i Ben weszli do pokoju.

- Ben, poznaj moją znajomą - powiedziała Miranda. - To jest Sam. Na pewno ją polubisz. Sam - zwróciła się do Samanty. - To jest mój najstarszy syn, Ben.

Samanta najpierw zauważyła ciemne włosy. Potem ciemne oczy, które promieniowały taką siłą, że przyciągały uwagę wszystkich obecnych.

- Witaj, Sam. - Ben wyciągnął do niej rękę.

- Cześć. - Samanta także podała mu dłoń. Uśmiechnęła się. - Podobno bardzo chcesz się ożenić.

Ben roześmiał się z całego serca. Samanta skorzystała z okazji, żeby mu się uważniej przyjrzeć. Był rzeczywiście inny. Zwłaszcza jeśli Luke miałby posłużyć za wzorzec. Był szczupły, żyłasty, miał szeroki nos i wydatne usta. Nie był odświętnie ubrany. Zwyczajna koszula i luźne spodnie świadczyły o tym, że Ben nie przywiązuje wielkiej wagi do stroju. Kogoś jej przypominał, tylko nie mogła sobie przypomnieć, kogo.

- Cześć, braciszku - rozległ się nad nimi dudniący głos. Samanta spojrzała w górę. Okazało się, że oprócz Luke'a w domu jest jeszcze jeden olbrzym. Podeszedł do Bena, objął go ramieniem.

- Żyjesz, stary? - zapytał.

Po chwili dołączył do nich Luke, a potem jeszcze trzeci wielkolud, na którego wołano Simon. Samanta mogła w pełni ocenić różnicę pomiędzy szczupłym, ciemnym i tajemniczym Benem, a jego potężnymi, jasnowłosymi braćmi. A jednak to Ben skupiał na sobie uwagę całej rodziny. Ledwie wszedł do domu, a już bracia krążyli wokół niego jak ćmy wokół światła.

Samanta poczuła, że ją też coś ciągnie do tego ciemnowłosego mężczyzny. Ożywiła ją emanująca z Bena magnetyczna siła. Miała ochotę podejść do niego, żeby znaleźć się jak najbliżej źródła tej siły, ale bała się jego przenikliwych oczu. Spoglądał na człowieka tak, jakby umiał wypatrzeć najskrytsze tajemnice.

Samanta zrozumiała, że Ben nie smaruje obiektywu wazeliną ani nie rysuje serduszek na ślubnych zdjęciach. Był człowiekiem, któremu wystarczy spojrzeć na nowożeńców, żeby wiedzieć, jaka przyszłość czeka ich i ich małżeństwo.

- Pozwól, Ben - odezwała się Ella - że ci przedstawię Judith.

- Tak bardzo chciałam cię poznać. Wszyscy mówią tylko o tobie - zaszczębiotała z podziwem Judith. Była efektowną blondynką o okazałym biuście. Miała na sobie obcisły sweter z niebieskiej angory, wydatnie podkreślający jej kobiece kształty.

Skoro Ben lubi takie kobiety jak Judith, to ja odpadam w przedbiegach, pomyślała Samanta. Zresztą dobrze się stało, bo wcale nie jestem nim zainteresowana.

- Naprawdę? - Ben spojrział na Judith z lekkim niesmakiem.

Samanta przypomniała sobie, że to ona miała robić do niego słodkie oczy. Miranda mówiła, że Ben nie może się opędzić od kobiet i że nade wszystko nie lubi adorujących go słodkich idiotek. Teraz już rozumiała, dlaczego nie chciał się żenić. Nie musiał. Był taki pociągający, że Samanta mimo woli wyobraziła sobie, jak by to było, gdyby jej dotykał. Zadrzała. Ucieszyła się, że Miranda nie ją wybrała na partnerkę swego syna. Ten niewydarzony Ben, którego żadna kobieta nie chciała, sprawiał wrażenie pożeracza kobiecych serc.

Oniemiała, gdy poczuła, jak Ben obejmuje ją ramieniem.

- Chciałbym ci przedstawić moją narzeczoną - powiedział Ben do Judith.

Cała rodzina wybuchnęła śmiechem.

Zanim usiedli do stołu, Samanta poznała wszystkich. Nie wyłączając dzieci i niemowlaków. Miranda posadziła ją pomiędzy sobą a Benem. Po drugiej stronie Bena - zgodnie z planem - zasiadła Judith.

Podano jak najbardziej tradycyjny świąteczny obiad. Była szynka, indyk z różnymi warzywami i mnóstwo pysznego sosu. Kiedy wszystkie te wspaniałości rozłożono na talerze i goście zabrali się do jedzenia, w pokoju zrobiło się trochę ciszej. Samanta usiłowała wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć Benowi. Coś, co na zawsze by go do niej zniechęciło.

Nie miałyby z tym nawet wiele kłopotu. Zauważyła, jakie ma silne dłonie, jak pewnie i mocno bierze to, czego mu potrzeba. Zapragnęła, żeby ją także wziął za rękę. Tak samo pewnie, jak brał nóż czy widelec. Pomyślała, że czułaby się przy nim bardzo bezpiecznie. Cóż prostszego, niż mu o tym

powiedzieć. Po takim oświadczeniu Ben na pewno nigdy więcej nie spojrzalby w jej stronę.

Zanim zdążyła się odezwać, siedząca naprzeciwko Bena Carol pochyliła się nad stołem.

- Czy wiesz, nad czym Samanta teraz pracuje? - powiedziała do Bena. - Píše artykuł o tym, czy biała bawełniana bielizna podnieca mężczyzn.

Ben spojrział na Samantę. Tylko spojrział. Zadrżała od tego spojrzenia co najmniej tak, jakby jej dotknął.

- Dla kogo to piszesz? - zapytał, choć jego oczy pytały o coś całkiem innego. Jakby rozbierał ją wzrokiem. Samanta mogłaby się nawet obrazić, gdyby nie wiedziała, że Ben patrzy tak na każdą kobietę, a nie tylko i wyłącznie na nią.

- „Kobieta Kobiecie”. To tygodnik dla pań - wyjaśniła.

- Muszę mieć tysiąc pięćset słów.

- Sporo jak na taki temat. - Ben ze zrozumieniem pokiwiał głową.

- Co gorsza cały tekst musi być gotowy na jutro rano - westchnęła Samanta. - Od początku miałam na to za mało czasu. Ktoś inny miał napisać ten artykuł, ale zrezygnował. Naczelný zadzwonił do mnie tydzień temu i prosił, żebym to zrobiła w zastępstwie. Najpierw się zgodziłam, a dopiero potem pomyślałam, że sobie z tym nie poradzę.

- A ty jak uważasz, Ben? - dopytywała się Carol. - Czy taka bielizna może podniecać? Luke mówi, że to zależy od ciała i od tego jak bardzo biała jest bielizna.

- Ja tam wolę kolorową - wtrącił się do rozmowy Simon.

- Biały kojarzy mi się z dziewictwem.

- Są tacy, których to podnieca - powiedział z namysłem Ben. Samanta od razu zaczęła się zastanawiać, czy on także należy do tego gatunku mężczyzn.

- Każdy inny kolor może przytłumić biały - odezwała się Judith. - Nawet blond jest bardziej wyrazisty od białego.

Judith miała blond włosy, ale przecież nie powiedziała tego po to, żeby zebrani skojarzyli białą bieliznę z jej pięknymi włosami. Ona tylko chciała wziąć udział w rozmowie.

- Tak, masz rację. - Samanta pochyliła się nad stołem, żeby na nią spojrzeć. Właśnie przypomniała sobie, po co ją tu zaproszono i że nie może sprawić Mirandzie zawodu. - To bardzo interesująca uwaga. Rozwinę ją w moim artykule.

- Nie wszyscy mężczyźni lubią, kiedy kolor bielizny dominuje nad kobietą, która ją nosi - powiedział Ben. Miał taki czuły głos. Samanta nie wiedziała, czy tylko ją ten głos przyprawia o dreszcze, czy może Judith odczuwa to samo. - Mógłby chcieć sam nad nią dominować.

- Męski szowinista! - rozległ się chór damskich głosów. Większość z pań tylko udawała oburzenie.

- Bzdura! - Ben wzruszył ramionami. - Nie należy mieszać polityki do seksu. Tak samo zresztą jak seksu do polityki.

- Łatwiej byłoby ci napisać te tysiąc pięćset słów o tym, dlaczego mężczyźni koniecznie chcą dominować w łóżku - zwróciła się Ella do Samanty.

- Żeby odpowiedzieć na to pytanie, wystarczą tylko cztery słowa. Mężczyźni lubią dominować w łóżku z tego samego powodu, dla którego kobiety lubią być zdominowane: ponieważ tak jest przyjemniej. Większość kobiet o tym wie, choć nie każda potrafi się do tego przyznać.

Samanta z trudem oderwała wzrok od Bena. Zmusiła się do nabrania na widelec porcji indyczego mięsa. Nie przyszło jej to łatwo, ale musiała zrobić coś, żeby przestać na niego patrzeć jak zahipnotyzowana myszka.

- Odbieglśmy od tematu! - Carol nie dawała za wygraną.

Samanta nie rozumiała, po co ona to robi. - Powiedzcie, czy zwykła biała bawełniana bielizna jest podniecająca? A jeżeli tak, to dlaczego i kogo podnieca.

- Nie musi być zwykła - wtrąciła się Samanta. - Jak trzeba, mogę dodać koronki.

- Nie musisz - mruknął Ben tak cicho, że tylko ona go usłyszała.

Oniemiała. Nie miała odwagi na niego spojrzeć.

- O bieliznie można powiedzieć tylko jedno - odezwał się Artur Harris, mąż Mirandy. - Na pewno jest bardziej podniecająca niż całkowita nagość, choć do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje. Byłbym wdzięczny, gdyby ktoś z was zechciał mi to wytłumaczyć.

Samanta spróbowała sobie wyobrazić, jak ojciec Justina mówi coś podobnego. Albo że taka rozmowa odbywa się podczas obiadu w domu McCourtów. Nie miała wystarczająco bujnej wyobraźni.

- Tata ma rację - poparł ojca jeden z jego synów. - Rzeczywiście tak jest, ale ja też nie wiem, dlaczego.

- A po co pakuje się prezenty? - Luke odpowiedział im pytaniem.

- W tym sęk! No bo dlaczego, na przykład, długa suknia z rozcięciem do połowy uda jest bardziej ekscytująca niż minispódniczka? - zapytał Jude.

- Wy, chłopcy, nie macie pojęcia, ile straciliście - powiedział ojciec. - Minispódniczki były bardzo podniecające, ale w latach sześćdziesiątych. A to dlatego, że nigdy przedtem nie widzieliśmy odsłoniętych kobiecych nóg. Teraz można zobaczyć wszystko, nawet jeśli nie chce się oglądać.

Rozmówcy podzielili się na mniejsze grupki. Żywo dyskutowano o tym, co powiedział Artur, i w ogóle o przemianach obyczajów.

- Dla kogo piszesz ten artykuł o pierwszym przedstawieniu „Hair”? - Ben zwrócił się do Samanty.

- Z ciekawości. - Samanta była dobrze przygotowana na to pytanie. - Pomyślałam sobie, że się trochę rozejrzę, popytam, dowiem się, jak to wtedy było. Może z okazji rocznicy premiery zaproponuję ten artykuł jakiemuś pismu.

- Ben też brał udział w jednym przedstawieniu - wspomogła ją Miranda. - O tym ci jeszcze nie mówiłam. Może dzięki tej historii lepiej sprzedasz swój tekst.

- Naprawdę? - zapytała zaciekawiona Samanta.

- Nudziłem się, czekając na mamę za kulisami - powiedział Ben. - Ktoś pewnie miał się mną opiekować, ale zapomniał o mnie. Zobaczyłem mamę na scenie i poszedłem do niej. Aktorzy właśnie zaczęli się rozbierać. Bardzo mi się ten pomysł spodobał. Nie lubiłem ubrania.

Miranda się roześmiała.

- Zdjął koszulę, spodnie i buty - powiedziała. - Tylko majteczek nie zdążył zdjąć, bo mu nie pozwoliłam. Wzięłam go na ręce i tak odśpiewaliśmy kolejną piosenkę. Oczywiście publiczność szalała.

- Pewnie wtedy polubiłeś światła reflektorów - stwierdziła Carol.

- Nic podobnego - zaproponował Ben. - Pamiętam, że widziałem mnóstwo twarzy. Wszystkie były jednakowe. Pomachałem im ręką, ale nie chciałem już nigdy stać po tej stronie kamery.

Samanta doznała olśnienia. Słowo „kamera” zadziało jak klucz: otworzyło wrota pamięci. Samanta spojrzała na Bena z niedowierzaniem.

- Boże wielki! - wykrzyknęła. Spojrzała na Mirandę. Potem jeszcze raz na Bena. - Ty jesteś Ben Harris!

To była ta kropla, która przepełniła kielich. Mało, że ten



nieprzystosowany, brzydki i uparty fotograf, specjalista od zdjęć ślubnych, którego nie chciała żadna kobieta, okazał się najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała, to jeszcze był jednym z najlepszych fotoreporterów świata. Największy dziennik kanadyjski napisał o nim, że jest „najbardziej przenikliwym i niepokojącym reporterem wojennym swojego pokolenia”.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Tak mi przykro, że musisz już iść - powiedziała Miranda.

Samancie też było przykro. Tak dobrze się bawiła. Pokój nie wydawał się jej aż taki zatłoczony, bo znała wszystkich tu obecnych i zdawało jej się, że przyjaźni się z nimi od zawsze. Gdyby nie ten artykuł dla Phila, bez zmruczenia oka popsułaby Mirandzie szyki i została dłużej.

I wcale nie ze względu na Bena. Samanta dawno nie czuła się w żadnej grupie osób jak w rodzinie. Zaczęła już nawet uważać McCourtów za typową szczęśliwą rodzinę. Mało brakowało, a uwierzyłaby, że wszystkie wspomnienia o tym, jak powinna wyglądać rodzina, były wytworem jej pragnień, a nie wspomnieniem tego, czego doświadczyła w dzieciństwie. A tymczasem okazało się, że szczęśliwe rodziny istnieją naprawdę. Nie są doskonałe, ale po prostu szczęśliwe.

- Naprawdę muszę już jechać - powiedziała ze smutkiem.  
- Phil będzie miał kłopot, jeśli rano nie przyniosę mu tego artykułu.

Artykuł o białej bieliźnie zapowiadano na okładce, a okładki w żaden sposób nie można było zmienić. Samanta nie miała wyjścia: musiała napisać ten tekst. Przecież Phil na nią liczył.

Wszyscy zebrani doskonale rozumieli, że w tej sytuacji Samanta naprawdę nie może zostać, a jednak było po nich widać, że woleliby, aby nie wychodziła.

- Mogę zadzwonić po taksówkę? - Samanta dopiero teraz przypomniała sobie, że nie przyjechała samochodem.

- Nie ma potrzeby! - zawołała Miranda. - Mieszkasz tak blisko, że ktoś może cię odwieźć. Ben, może ty podrzuciłbyś Samantę do domu?

Słowa Mirandy po działały jak zimny prysznic. Kolorowa mydlana bańka, w której Samanta spędziła wieczór, rozprysła się na tysiące maleńkich kawałeczków. Dziewczyna przypomniała sobie, że zaproszono ją, by zmylić czujność Bena, a nie dlatego, że jest sympatyczną Samantą Jagger.

Widocznie Miranda nie polubiła jej aż tak bardzo, jak się Samancie wydawało, skoro ani na moment nie zapomniała o swych planach wobec najstarszego syna. Wyłącznie z powodu tych planów poświęciła Samancie tyle uwagi. Inni członkowie rodziny też pewnie tylko dlatego okazywali jej sympatię.

- Nie trzeba - opierała się Samanta. Nie chciała, żeby Ben odmówił. I tak już czuła się nieswojo. - Pojadę taksówką.

- Odwiozę cię - powiedział Ben. - Mieszkasz na Brunswicku? To tylko dziesięć minut jazdy ode mnie, a na taksówkę możesz czekać nawet do rana. W święta zawsze jest mało taksówek i dużo pasażerów.

Samanta patrzyła na Mirandę, która uśmiechała się tajemniczo. Choć bardzo się starała, nic nie mogła z tego jej uśmiechu wywnioskować. Chętnie podziękowałaby Benowi i wróciła do domu taksówką, ale przecież musiała napisać ten przekłety artykuł. A w święta rzeczywiście długo się czeka na taksówkę.

- Bardzo ci będę wdzięczna za podwiezienie - powiedziała.

Samanta siedziała obok Bena. W milczeniu przypatrywała

się tańczącym po jezdni światłom. Myślami błądziła daleko w czasie i przestrzeni.

- Dlaczego zgodziłaś się przyjść do nas na obiad? - zapytał nagle Ben.

To pytanie tak ją zaskoczyło, że aż się wzdrgnęła. Spojrzała na Bena, który bacznie obserwował drogę.

- Mam tylko brata. Kiedy wyjeżdża, jestem zupełnie sama.

- Nie o to mi chodzi. Dlaczego się zgodziłaś, żeby moja matka nas ze sobą swatała? Nie szukasz rozgłosu, bo nie wiedziałaś, kim jestem. Nie wyglądasz mi też na osobę, która za wszelką cenę musi złapać męża.

- Pewnie, że nie muszę - Samanta się roześmiała. Trudno było odpowiedzieć Benowi, nie demaskując przy tym Mirandy.

- Masz kogoś?

Zerknęła na niego. Patrzył na nią tymi przenikliwymi czarnymi oczami. Zaraz jednak zwrócił je z powrotem na drogę.

- Owszem, mam - odparła zadowolona, że już nie musi kłamać. - Skąd wiesz?

- Mam ci prawić komplementy? Taka kobieta jak ty żyje bez mężczyzny tylko wtedy, kiedy tego chce. Ty nie zachowujesz się tak, jakbyś była sama.

- Dziękuję ci za komplement.

- Powiesz mi wreszcie, dlaczego zgodziłaś się na udział w tej intrydze? - dopytywał się Ben.

- Uważasz, że Miranda zaprosiła mnie po to, żeby nas ze sobą poznać?

- Wiem, bo mi o tym powiedziała. Byłem przygotowany na kolejną blondynkę z dużym biustem. Kogoś w rodzaju Judith. Ale widocznie mama wreszcie zmieniła taktykę.

- Lubisz blondynki z dużym biustem? - Samanta się roześmiała. Przestała się denerwować.

- To mama tak uważa. Dlatego zawsze wiem, kiedy zaprasza jakąś kobietę po to, żeby mnie z nią ożenić. Nie przeszkadzam jej w tym, bo to i tak niczego nie zmieni.

- Może wreszcie domyśliła się, w czym rzecz.

Wciąż chciało się jej śmiać. I to bez żadnej wyraźnej przyczyny. Rozpierała ją energia.

- Możliwe, ale ty wciąż zmieniasz temat. Dlaczego przyszłaś?

- A skąd wiesz, że znałam plany twojej mamy?

- Stąd, że oświadczyłaś mi się w drugiej minucie mojego pobytu w domu.

- O rany! Zupełnie o tym zapomniałam! - Samanta znów się roześmiała.

- No więc mów, dlaczego? Wiem, że nie chcesz mi powiedzieć, ale wyduszę z ciebie odpowiedź. Nawet gdybym miał cię przez całą noc wozić po mieście.

Samanta nie miała zamiaru wydać współniczki. Nie wiedziała, czy Miranda nadal chce ożenić Bena z Judith. Gdyby tak było, zwierzenie Samanty pokrzyżowałoby jej plany.

- Przyszłam, bo twoja mama mnie zaprosiła. Polubiłam ją. Tak bardzo ją polubiłam, że postanowiłam wyjść za mąż za jednego z jej synów, żeby mieć fajną teściową. Rozumiesz?

Ben spojrział na nią przelotnie. Samanta poczuła się tak, jakby przez ten ułamek sekundy, kiedy jego oczy zatrzymały się na jej twarzy, zajrzał w sam środek jej duszy.

- Jak ma na imię ten facet, z którym się teraz prowadzasz?

- Justin. I wcale się z nim nie prowadzam - obruszyła się Samanta. - Jesteśmy zaręczeni.

Sama już prawie w to uwierzyła, więc kłamstwo przyszło jej bez trudu.

- Biedny Justin. - Ben wcale się nie przejął jej wybuchem. - Nie utrzyma cię przy sobie, chociaż wydaje mu się, że już cię ma. Tylko się ze mną nie kłóć. - Ben w zarodku zdusił protesty Samanty. - Szkoda czasu i atłasu. Jesteśmy na miejscu, a ja mam dla ciebie konkretną propozycję. Czy możesz mi poświęcić jeszcze pięć minut?

Samanta bardzo się zdziwiła, widząc, że rzeczywiście są już pod jej domem. Nawet nie zauważyła, kiedy tu przyjechali.

- Mogę - zgodziła się niechętnie. Wciąż jeszcze była zła na niego za to, co powiedział o Justinie.

Skąd on może wiedzieć, jak silny jest nasz związek, myślała. Jak śmie przypuszczać, że nie kocham Justina?

Ben wyłączył silnik. Odwrócił się do Samanty i położył rękę na kierownicy.

- Chcę wykołować moją mamę i ty mogłabyś mi w tym pomóc - powiedział.

Samanta z trudem powstrzymała się od śmiechu. Ekstra! pomyślała. Najpierw Miranda prosi mnie, żebym jej pomogła wykołować Bena, a teraz Ben chce z moją pomocą wykołować Mirandę. Co za niesamowita rodzina!

- Zwariowałaś?

- Chodzi o to, żebyś przez kilka miesięcy przychodziła ze mną do domu na niedzielne obiady - namawiał ją Ben. - Będziesz grała rolę mojej dziewczyny. Nie musisz udawać, że mnie kochasz ani że ze sobą sypiamy. Jeśli chcesz, możemy nawet powiedzieć wszystkim, że łączy nas miłość platoniczna.

- Myślisz, że ktoś uwierzy w to, że spotykasz się z kobietą i z nią nie sypiasz? - zapytała Samanta z przekąsem.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, co właściwie mu powiedziała. Na szczęście Ben nie zwrócił na jej słowa uwagi.

- Nie obchodzi mnie, kto i w co uwierzy. Dopóki będę przychodził z tobą, mama nie odważy się zapraszać na obiady żadnych obcych kobiet z gigantycznym biustem. Chciałbym wreszcie móc spokojnie pobyc z swoją rodziną. Ty nie masz pojęcia, jak okropnie być synem urodzonej swatki.

- Nie mam pojęcia - zgodziła się Samanta.

Smutno się jej zrobiło. Pomyślała, że byłoby miło mieć kogoś, dla kogo jej dzieci byłyby wnukami.

- Przepraszam. - Ben pogłaskał ją po dłoni. - Mama przecież mi mówiła, że nie masz rodziców. Wiem, że jestem szczęśliwcem. Wybacz, nie pomyślałem o tym.

- Nic nie szkodzi. - Samanta z trudem wydobyła z siebie słowa. Pewnie, że było jej przykro, ale zachowanie Bena sprawiło, że całkiem się rozkleiła. Współczucia się po nim nie spodziewała.

- No więc jak? Zrobisz to dla mnie? Czy ten twój Justin pożycz mi cię na kilka niedzielnych popołudni? Nie musisz bywać u nas co tydzień. Czasami mogę odwiedzać rodziców sam. Powiem im, że masz pilną pracę i nie mogłaś przyjść. Mamie wystarczy świadomość, że jesteś ze mną, a nie twoja fizyczna obecność na obiedzie.

- Nie rozumiem, co ci z tego przyjdzie.

- Już ci mówiłem: będę mógł spokojnie spotykać się ze swoją rodziną. Już dawno nie rozmawiałem z nimi normalnie, nie mając jednocześnie uczucia, że jakaś obca kobieta patrzy na mnie jak na materiał na męża.

- Nie możesz przyprowadzić jakiejś innej dziewczyny?

- Nie mogę. Jak tylko z kimś przychodzę, mama zaraz zaczyna pytać, kiedy planujemy ślub. Ona nie umie inaczej.

Jest niereformowalna. A efekt jest taki, że jedne dziewczyny znikają na zawsze, a inne zaczynają się zastanawiać, czy będziemy mieli najpierw syna, czy córkę. Nienawidzę tego! Nie można zaczynać znajomości od końca.

- To fakt - roześmiała się Samanta. - Nie próbowałeś ostrzec tych dziewczyn przed sprowadzeniem ich do domu rodziców?

- Jak ostrzec kobietę, że moja matka zechce ją mieć za synową? - Ben pokręcił głową. - To do niczego nie prowadzi. Myślałyby, że je sprawdzam. Naprawdę, wszystkiego już próbowałem. No to jak? Pomożesz mi?

- Jaka mam pewność, że nikt, poza twoją rodziną, się o tym nie dowie? Co będzie, kiedy Justin przeczyta w gazecie o nowej narzeczonej Bena Harrisa?

- Nie przeczyta. Redaktorzy kolumn towarzyskich nie bardzo się mną interesują. Ale, na wszelki wypadek, będziemy uważać. Ten spisek uknujemy wyłącznie na użytek mojej rodziny.

Samanta pomyślała, że jeśli nie przyjmie propozycji Bena, to już nigdy w życiu nie spotka się z jego rodziną, nie przeżyje takiego cudownego wieczoru, jaki właśnie miała za sobą. Bardzo ich wszystkich polubiła i oni chyba też ją zaakceptowali, ale było mało prawdopodobne, żeby Miranda kiedykolwiek zaprosiła ją ponownie do swojego domu. Samanta przypuszczała także, że jeśli odmówi, to pewnie i Bena już nigdy w życiu nie zobaczy.

Ben mógł wprowadzić Samantę do rodziny. W tej chwili tylko tego brakowało jej do szczęścia, choć rano jeszcze o tym nie wiedziała. Zrozumiała to dopiero wtedy, kiedy porównała Harrisów z McCourtami.

- Zgoda - odparła, zanim zdążyła wymyślić argumenty przemawiające przeciwko przyjęciu tej propozycji.



- Świetnie - ucieszył się Ben. I nic więcej nie powiedział. Żadnych ochów, achów ani podziękowań. - Wiem, że nie masz dziś wiele czasu, więc nie będę cię zatrzymywał. Zadzwoń jutro. Oczywiście, jeśli pozwolisz.

- Pozwolę. - Samanta trochę się dziwiła, dlaczego jej serce bije tak mocno, jakby dopiero co zwyciężyła w biegu maratońskim.

- I jeszcze jedno. - Ben wyciągnął do niej rękę. Zanim zdążyła się zorientować, znalazła się w jego objęciach. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała, spoglądając na niego z obawą.

- Gdy wrócę, mama na pewno mnie zapyta, czy cię pocałowałem. A jutro ciebie spyta o to samo. Jest tylko jeden sposób, żebyśmy nie pomylili się w zeznaniach.

Uśmiechnął się. Pochylił się i pocałował Samantę w usta. Tak delikatnie, tak słodko, że poczuła ten pocałunek nawet w koniuszkach włosów.

Wcale długo się nie całowali. To znaczy Samancie wydawało się, że nie trwało to długo. Zdarza się, że czas płata ludziom głupie figle.

- Szkoda, że musisz pisać o tej białej bieliźnie - westchnął Ben z niekłamany żalem.

Samanta dopiero po chwili zrozumiała, o czym on mówi.

- Rzeczywiście - mruknęła. Bez trudu oswobodziła się z uścisku Bena. Czuła się niezręcznie. Wolała rozmawiać o swojej pracy aniżeli o tym, co się przed chwilą zdarzyło. - Szkoda, że dyskusja podczas obiadu u twojej mamy nie natchnęła mnie żadną błyskotliwą myślą. Mogłabym machnąć ten nieszczęsny tekst w dwie godziny, zamiast siedzieć nad nim przez całą noc.

- Jaki tytuł będzie miał twój artykuł? - zapytał Ben. Machinalnie odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów. Samancie zawrzała krew w żyłach.

- „Biała bawełniana bielizna. Podniecająca czy obojętna?” - wyrecytowała. W ciągu ostatniego tygodnia czytała ten tytuł tyle razy, że do końca życia go nie zapomni.

- No to możesz napisać także o tym, co kobiety sądzą o białej męskiej bieliźnie. Ten tytuł daje takie możliwości.

Samanta patrzyła na niego jak na objawienie.

- Masz rację - szepnęła, czując, jak cały tekst sam układa się w głowie. A więc jednak doznała długo oczekiwanego olśnienia. Dzięki Benowi. - Jesteś genialny!

- Możesz tak zrobić?

- Jasne! Siedemset pięćdziesiąt słów o kobietach i tyle samo o mężczyznach. To naprawdę nic trudnego. - Pocałowała Bena w policzek. - Bardzo ci dziękuję! Teraz naprawdę muszę już iść.

Otworzyła drzwi samochodu w tej samej chwili, w której Ben znów wyciągnął po nią ręce. Opuścił je i patrzył, jak Samanta wysiada z samochodu.

- Dobranoc - powiedział cicho. - Jutro do ciebie zadzwonię.

- Dobranoc - odparła i uszczęśliwiona pobiegła do domu.

Ben włączył silnik. Podjechał kawałek. Patrzył, jak Samanta idzie chodnikiem. Nie zapięła płaszcza i jego poły powiewały za nią jak ogromne skrzydła.

Weszła do jasno oświetlonego holu. Była taka delikatna. Jej włosy lśniły niebiańskim blaskiem. Patrzył, jak otwiera drzwi... Zniknęła, ale Ben nawet się nie poruszył.

- Co ja tu właściwie robię? - spytał sam siebie.

Nigdy przedtem nie miał takich wątpliwości. *Zawsze* dokładnie wiedział, co i w jakim celu robi. Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że Samanta może mu pomóc udaremnić knowania matki, ale przecież nie tylko o to mu chodziło. Czuł się tak, jakby coś mobilizowało go do działania, kazało tak, a nie inaczej postępować. Nie wiedział tylko, co to takiego.

Pragnę jej od chwili, kiedy ją pocałowałem, przyznał się samemu sobie.

- To był cudowny wieczór - mówiła Samanta do Mirandy. - Już nie pamiętam, kiedy tak wspaniale się czułam.

- Bardzo się cieszę, że było ci z nami dobrze. Fajnych mam synów, nie sądzisz?

- Dlaczego mi powiedziałaś, że Ben robi ślubne zdjęcia? Nie mogłaś mnie uprzedzić, kim jest?

- Myślałaś, że on fotografuje młode pary? - Miranda śmiała się do rozpuku. - Bo ja ci tego na pewno nie mówiłam. Raczej staram się zapomnieć, że jest takim znanym człowiekiem. Dla mnie zawsze będzie tylko moim małym Benem. Spodobał ci się, prawda?

- Nie mam zamiaru wypowiadać się na ten temat - zastrzegła się Samanta.

- Pocałował cię na dobranoc?

- Mówiłam, że nic ci nie powiem - powtórzyła Samanta. Na samo wspomnienie tamtego pocałunku serce zabiło jej gwałtownie, jakby chciało przypomnieć o swoim istnieniu.

- Czy to nie jest cudowne? Wszystkie te nasze plany...

- Miranda chichotała jak mała dziewczynka. - Wyobraź sobie, że wczoraj zupełnie o nich zapomniałam. Byłam taka szczęśliwa! Spodobałaś się Benowi, wiesz? Z tego wszystkiego zapomniałam, że miałam go zainteresować kim in-

nym. Kiedy powiedziałaś, że musisz wracać do domu, pomyślałam sobie, że byłoby dobrze, żeby Ben cię odwiedził. Dopiero wtedy wszystko sobie przypomniałam. Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie będę namawiała Bena, żeby odwiedził do domu dziewczynę, która mu się podoba. Ale wczoraj zupełnie nie mogłam się powstrzymać. To silniejsze ode mnie. Byłam na siebie wściekła, bo myślałam, że odmówi. Zawsze odmawia. A on tymczasem się zgodził! I na pewno cię pocałował.

Samanta musiała przyznać Benowi rację. Naprawdę trudno było wytrzymać z taką matką. Każdą kobietę mogła zniechęcić. Nawet do Bena. Albo przekonać, że Ben jest po uszy zakochany i że wobec tego można pognać precz wszystkich pozostałych mężczyzn.

- Zapomniałaś, Mirando, że jestem zaręczona - odezwała się stanowczo Samanta.

- O Boże! Chyba cię obraziłam - wystraszyła się Miranda. - Ja naprawdę nie mogę przestać. Możesz mi przypomnieć, jak ma na imię twój narzeczony?

- Justin - powiedziała Samanta. - Justin McCourt - do-dała na wypadek, gdyby Miranda pomyślała, że wymyśliła sobie to oryginalne imię.

- O rany! Chodzisz z synem McCourtów? Bardzo ciekawe! Ja kiedyś chodziłam z Halem. Ale to było dawno. Zosta-wił mnie dla Veroniki. No cóż, każda dziewczyna musi przez to przejść. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Przez co? - wyrwało się Samancie. Nie powinna wdawać się w dyskusję na ten temat, ale jakoś nie mogła się powstrzy-mać. Widocznie zaraziła się gadatliwością od Mirandy.

- Marzenia o wielkiej fortunie. Ale ty jesteś zbyt żywio-łowa dla tych ludzi. Musisz mi uwierzyć na słowo. W kilka lat wyssa z ciebie całą energię. To nie jest życie dla ciebie.

- Proszę cię, Mirando... - zaczęła Samanta.  
- Tak, wiem. Przepraszam. Lepiej zmieńmy temat. Udało ci się napisać ten artykuł?

- Na szczęście zdążyłam.  
- Bardzo się cieszę. Czy miałabyś ochotę przyjść do nas w niedzielę na obiad?

Samanta pomyślała, że Miranda rzeczywiście jest niereformowalna.

- Ciekawa jestem, co ze sobą zrobisz, kiedy Ben się wreszcie ożeni. Kogo będziesz wtedy swatać?

- Zmierzę się z resztą świata - odparła zadowolona z siebie Miranda. - Tylu jest przecież samotnych ludzi.

- Cześć.

- Cześć - powiedziała cicho Samanta.

Ta wymiana pozdrowień miała w sobie coś bardzo intymnego. Musiała się uśmiechnąć.

- A więc chciałybyś wyjść za mąż?

Jego głos był uwodzicielski. Zapraszał do śmiechu albo...

- Jasne. A kogo mogę sobie wybrać? - zapytała.

- Kogo tylko zechcesz, moja śliczna. Czy mama już wycelowała we mnie pistolet? Zaprosiła cię na niedzielny obiad?

- Zaprosiła, ale odmówiłam.

- Co za siła charakteru. - Ben był pełen podziwu. - Jak ci się to udało?

- Zmieniłam temat.

- Zmusiłaś moją matkę do zmiany tematu? Jakim cudem?

Teraz śmiali się oboje. Samanta nie spodziewała się, że wspólny śmiech może tak bardzo zbliżyć ludzi.

- Zaczęłyśmy rozmawiać o samotnych ludziach, którzy nie mogą sobie znaleźć odpowiedniego partnera.

- Niezły sposób, ale nie wierzę, żeby moja matka nie próbowała namówić cię na niedzielny obiad.

- Rzeczywiście, próbowała. - Samanta znów się uśmiechnęła. - Ale jej powiedziałam, że jeśli zechcesz się ze mną zobaczyć, to sam mnie do jej domu zaprosisz.

- No to cię zapraszam. Przyjdiesz?

Samanta uznała, że gdyby Justin miał dla niej jakąś propozycję na niedzielę, choćby wyjście do teatru, to do tej pory już by jej coś o tym wspominał. A skoro nic nie mówił...

- Przyjdę. Dzięki za zaproszenie.

- Bardzo się cieszę - powiedział Ben tak jakoś ciepło.

- Muszę wyjechać na kilka dni. Wracam dopiero w niedzielę po południu. Czy mogę przyjechać po ciebie około szóstej?

- Możesz.

Samanta odłożyła słuchawkę. Czuła coś w rodzaju łaknięcia. Zrozumiała, że tak smakuje oczekiwanie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Zastanawiam się, czy jednak nie kupić tamtego mieszkania w domu Romanowów - powiedział Justin. - A ty co o tym sądzisz?

- Czy chodzi ci o to wielkie mieszkanie z ogromnym tarasem? - Samanta po raz pierwszy usłyszała nazwę budynku, który odwiedzili kilka tygodni wcześniej.

- A o cóż by innego? Przyznam, że podobają mi się te domy: Romanowów, Tudorów, Burbonów. Są bardzo solidne i mają doskonałą lokalizację.

- Nie potrzebujesz takiego dużego mieszkania. Wystarczyłoby ci mniejsze i przytulniejsze lokum.

- Mówisz tak, bo nie przywykłaś do przyjęć na wielką skalę - odparł Justin i uśmiechnął się pobłaźliwie.

Bardzo ją zirytował, choć na ogół zdarzało mu się to bardzo rzadko.

- Nie wydajesz wielkich przyjęć. W ogóle nie organizujesz w domu żadnych imprez ani nigdzie nie bywasz. Ja przynajmniej od czasu do czasu wydaję obiad dla ciebie i naszych przyjaciół.

- Masz rację. - Justin zrobił złośliwą minę. - Nie chciałem cię urazić. Chodziło mi o to, że musi minąć trochę czasu, zanim przyzwyczaisz się do życia na wielką skalę. Ale kiedy się przyzwyczaisz, będziesz zadowolona, że masz do dyspozycji tyle przestrzeni.

I znowu ta nie wypowiedziana obietnica. Dotąd Samanta

spokojnie przyjmowała te jego napomknienia, ale teraz ogar-  
nęła ją irytacja.

Co on sobie właściwie wyobraża? pomyślała zagniewana. Jest trochę zbyt pewny siebie. Sądzi chyba, że jak mi zaproponuje małżeństwo - jeśli w ogóle zdecyduje się to zrobić - to przyjmę jego propozycję z radością. Wydaje mu się chyba, że na świecie nie ma innych mężczyzn, a nawet jeśli są, to żaden nie wytrzyma konkurencji z paniczem McCourtem. Ciekawe, dlaczego nigdy nie przyszło mu do głowy, że komuś mogą się wydać tak samo pociągająca jak jemu. Benowi od razu się spodobałam. A może sama jestem sobie winna? Zawsze się uśmiecham, kiedy tak do mnie mówi. Nie wymagam żadnych deklaracji, żadnych zapewnień. Zawsze zachowuję się tak, jakbym żebrała o jego akceptację. Nic dziwnego, że jest pewny swego.

Postanowiła to zmienić. Przynajmniej to jedno mogła zrobić: odmówić współpracy.

- Mam rozumieć, że chcesz, żebym z tobą zamieszkała?  
- spytała.

Zaskoczyła go, ale Justin szybko się otrząsnął. Spojrzał na nią tym swoim spojrzeniem, które sprawiało, że nie potrafiła mu niczego odmówić. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że on specjalnie tak na nią patrzy, bo doskonale wie, jak jego wzrok na nią działa.

- Zdawało mi się, kochanie, że w tej sprawie jesteśmy zgodni - powiedział z naganą w głosie.

Samanta wiedziała, że w normalnych warunkach po takiej reprimendzie po prostu by się uśmiechnęła i nie drażyła tego tematu. Zapomniała tylko zapytać siebie, dlaczego właściwie tym razem warunki nie były normalne.

- Czyżby? Więc może mi powiesz, w jakiej to sprawie się z tobą zgodziłam?



- Mam ci się oświadczyć? - zapytał Justin z czułym rozbawieniem, które oznaczało, że uważa Samantę za słodkie maleństwo i uwielbia jej mały rozumek.

Tak, chciała, żeby się jej oświadczył. Pragnęła się czuć bezpieczna i kochana. Chciała zostać żoną Justina, choć jednocześnie bardzo się tego bała. Kochała Justina. Wiedziała, że go kocha. Ale małżeństwo, albo nawet zamieszkanie razem, to była poważna decyzja. Nawet jeśli po jakimś czasie zrozumie się, że to był błąd, trudno będzie cokolwiek zmienić.

Chyba rzeczywiście nie powinnam się tak spieszyć, pomyślała. Być może Justin ma rację. Czyż nie trzeba dokładnie wszystkiego przemyśleć? Tak dokładnie, żebym była pewna, że chcę z nim zostać na zawsze.

- Justinie... - zaczęła.

Ale on jakby zrozumiał, że coś się z nią dzieje. Jakby nagle poczuł się zagrożony. Pochylił się nad stołem, wziął ją za rękę.

- Sam, kochanie - szepnął i uśmiechnął się do niej tym swoim zniewalającym uśmiechem - czy wyjdiesz za mnie za mąż?

Nie tak to sobie wyobrażała. Wymuszone oświadczenia Justina, jej własne wątpliwości... Dlatego nie czuła takiej radości, jaka powinna ją w tym momencie ogarnąć.

Ale przecież tego właśnie chcę, przekonywała się Samanta. Wiem, że tego pragnę, choć z jakiegoś głupiego powodu nie cieszę się tak bardzo, jak powinnam.

Bardzo potrzebowała miłości i bezpieczeństwa. Pierścienek zaręczynowy zapewniłby jej i jedno, i drugie. Świadczyłby o jej przynależności do Justina, o tym, że Samanta kocha tego mężczyznę, a on kocha Samantę i że tak będzie zawsze. A wątpliwości? Przecież to naturalne. Tylko krowa nie ma wątpliwości.

- Co ty na to, kochanie? - dopytywał się Justin.

Drżała jak osika. Jakiś wewnętrzny głos nakazywał jej powiedzieć „tak”, więc Samanta posłusznie otworzyła usta. Ale powiedziała zupełnie co innego.

- Bardzo cię proszę, nie pytaj mnie o to teraz - wyszeptała.

- Czy ja cię obraziłem? - Justin był poirytowany. - Sądziłem, że się rozumiemy. Chyba nie muszę cię czarować.

Przymilny ton jego głosu podziałał na Samantę tak, jak zawsze działał: przekonał ją, że to ona nie ma racji. Może Justin naprawdę uważał, że Samanta zna jego zamiary? A ona tymczasem sądziła, że Justin się zastanawia, bo wcale nie jest pewien, czy chce się z nią ożenić.

- Spójrz na mnie, Sam!

Spojrzała. Justin trzymał ją za rękę, patrzył jej w oczy. Uśmiechał się. Czar wrócił.

- Kochasz mnie? - zapytał.

- Tak.

Oczywiście, że Samanta go kochała. Pokochała go w dniu, w którym po raz pierwszy weszła do jego gabinetu. Justin siedział przy biurku, tyłem do okna. Słońce złociło jego jasne włosy...

- W sobotę kupimy pierścione! - powiedział. - A ja złożę ofertę na to mieszkanie w budynku Romanowów. Oczywiście, podam znacznie niższą cenę niż ta, której żądają. Zobaczymy, co oni na to.

Samanta uśmiechnęła się. Musiała. Wiedziała, że jest szczęśliwa, chociaż w tej chwili nie odczuwała ani odrobiny szczęścia.

Nic w tym dziwnego, że zdaje mi się, że wpadłabym w pułapkę, tłumaczyła sobie. Każda zaręczona kobieta w pierwszej chwili tak właśnie się czuje. Całe moje życie się

zmieni, więc cóż w tym dziwnego, że trochę się boję? Ale oczywiście jestem nieziemsko szczęśliwa. W głębi duszy. Naprawdę.

Ben usiadł za kierownicą. Pochylił się, żeby przekręcić kluczyk w stacyjce i zamarł. Spojrzał badawczo na zamyśloną Samantę.

- Coś ty sobie zrobiła? - zapytał gniewnie.

- Nic nie zrobiłam! - Samanta spojrzała na niego zdziwiona. - Dlaczego pytasz?

- Sam nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Dziwnie wyglądasz. Jakbyś się czymś bardzo przejęła. Co się stało?

Samanta się roześmiała, ale odwróciła głowę. Spojrzenie Bena stało się zbyt przenikliwe. Chyba właśnie w ten sposób patrzył na ludzi, których fotografował. Jego zdjęcia były takie niepokojące, jakby aparat wychwytywał wewnętrzną prawdę o portretowanym człowieku. Dopiero teraz Samanta zrozumiała, że to nie aparat przenikał do wnętrza duszy, ale oczy Bena Harrisa.

Nie miała powodu, żeby czuć się niezręcznie pod jego spojrzeniem. Nie miała nic do ukrycia, żadnej wewnętrznej prawdy, która byłaby sprzeczna z tajawnie głoszoną.

- Nic złego się nie stało - zapewniła Bena. - Wprost przeciwnie. Justin poprosił mnie o rękę.

Ben się nie poruszył. Był tylko bardziej spięty, jeszcze bardziej uważny.

- I co mu powiedziałaś? - zapytał.

- To chyba oczywiste! Powiedziałam, że się zgadzam.

Dopiero teraz Samanta zdała sobie sprawę z tego, że nic podobnego nie powiedziała. Nigdy nie oświadczyła, że zgadza się zostać żoną Justina. Ale on, oczywiście, wiedział lepiej. Był pewien, że właśnie tego pragnęła.

Ben ujął ją za rękę. Za lewą. Ścisnął palcami miejsce, w którym powinien być pierścionek. Jakby chciał tam zostawić ślad.

Samanta zadrżała. Pomyślała - całkiem niechcący - że oświadczyzny Bena na pewno wyglądałyby zupełnie inaczej.

- Dziękuję, że nie włożyłaś pierścionka. Gdybyś go miała na palcu, mama natychmiast by się zorientowała, że ją nabieramy - powiedział Ben.

Gdzieś w głębi jego duszy pojawiła się całkowita pewność, że gdyby Samanta ośmieliła się nałożyć pierścionek od Justina, on zerwałby go z jej palca i wyrzucił przez okno.

- Nie dostałam jeszcze pierścionka. Dopiero go zamówiliśmy. Wczoraj wybraliśmy kamienie - wyjaśniła rzeczowym tonem Samanta.

W pierścionku miał być duży diament i dwa jasne turkusiki. Justin zażyczył sobie diamentu, chociaż Samancie najbardziej podobał się rubin. W końcu obaj z jubilerem wybrali największy kamień, jaki był w sklepie. Nie był to, co prawda, Koh-i-noor, ale i tak Samanta nigdy w życiu nie widziała takiego dużego diamentu.

- Powiedziałś mu o naszej umowie? - zapytał Ben.

Przestraszył ją. Tak się zamyśliła, że na chwilę zapomniała nawet o jego obecności.

A przecież siedzieli bardzo blisko siebie. Ben nagle zapragnął ją pocałować. Pewnie dlatego poczuł złość do tego jej narzeczonego. Nie rozumiał, jak można taką kobietę puszczać samą i to bez żadnego znaku, że do kogoś należy.

Ten Justin to kompletny głupiec, pomyślał Ben. Ja nie pozwoliłbym mojej narzeczonej udawać, że chodzi z innym facetem. Choćby to była tylko niewinna zabawa.

Spojrzał Samancie prosto w oczy. Czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Przyszło mu nawet do głowy, że ten pomysł

z udawaniem pary wcale nie był taki dobry, jak mu się początkowo zdawało.

Puścił dłoń Samanty. Uruchomił silnik samochodu.

- Powiedziałam, że idę na obiad do przyjaciół - odparła Samanta. Ben już dawno puścił jej palec, ale ona wciąż czuła w tym miejscu dziwny ucisk. - Justin nie musi o wszystkim wiedzieć. Zresztą na pewno nie miałby nic przeciwko temu. Ma do mnie zaufanie.

Nie rozumiała, dlaczego tłumaczy się Benowi ze swego postępowania. Te jego oczy...

- Mnie też ufa? - zapytał Ben.

Ciekawe, czy ten Justin ufa wszystkim mężczyznom, pomyślał. Widocznie jest nie tylko głupi, ale i ślepy.

- Justin nie wie o twoim istnieniu, więc nie ma powodu do niepokoju - zdenerwowała się Samanta.

- Nawet jeśli nie wie o moim istnieniu, to chyba zdaje sobie sprawę z tego, że nie jest jedynym mężczyzną na świecie.

- Nie wiem, czego ty od niego chcesz - zirytowała się Samanta. - Justin mi się oświadczył i ja te oświadczy przyjąłem. Zamówiliśmy pierścionek. Ciekawe, co ty byś zrobił? Przywiązałaś mnie do kaloryfera?

Ciemne oczy Bena przesunęły się po twarzy Samanty. Pomyślała, że zachowuje się tak, jakby był o nią zazdrosny.

- Gdybyś przyjęła moje oświadczy i nie mógłbym od razu dać ci pierścionka, nosiłabyś na palcu cokolwiek. Choćby wygięty spinacz biurowy.

Samanta machinalnie potarła serdeczny palec. W tym miejscu, które przed chwilą ścisnął Ben.

Ja już coś mam na tym palcu, pomyślała. Czuję ślad twojego dotyku. Chyba nigdy się od ciebie nie uwolnię.

- Mówiłam ci, że Justin mi ufa - powtórzyła Samanta w taki sposób, jakby się broniła.

- Wobec tego jest idiota.

Samanta zatrzęsała się z oburzenia, lecz Ben nie pozwolił jej dojść do głosu.

- Bóg jeden wie, dlaczego sobie wmawiasz, że kochasz tego swojego narzeczonego - powiedział. - Wcale nie kochasz go tak bardzo, żeby zostać jego żoną. Jeśli się nie pośpieszy, to zmienisz zdanie, zanim zdąży się z tobą ożenić. Gdyby wiedział, jak jest naprawdę, nie pozwoliłby ci się nawet zbliżyć do żadnego mężczyzny.

- Jak śmiesz! - krzyknęła dotknięta do żywego Samanta. - Ja go naprawdę kocham! Zresztą, co ty możesz o tym wiedzieć?

- Wiem, że dziś jesteś bardziej zestresowana, niż byłaś w poniedziałek - odparł Ben. - To chyba o czymś świadczy?

Był zły, że Samanta nie dostrzega rzeczy, które dla niego były oczywiste. Jak to, że nie kochała swojego narzeczonego. Oczywiście Bena nie powinno to obchodzić. W końcu to jej życie i może z nim zrobić to, co jej się podoba.

- To niczego nie dowodzi! Jestem zestresowana, ale to nie ma nic wspólnego z Justinem! Przez cały tydzień ciężko pracowałam. Zarwałam noc z poniedziałku na wtorek. Do dziś tego nie odespałam, dlatego gorzej wyglądam.

- Bzdura - parsknął Ben. - Podjęłaś najważniejszą decyzję w życiu, ważniejszą niż przepracowanie i wszystkie inne niedogodności dnia codziennego. Widziałem ludzi w bombardowanych miastach. Marzli na kość, pili wodę nie nadającą się do picia, ale kiedy postanawiali się pobrać, płonęli wewnętrznym blaskiem. Nie zważali na to, że wokół nich szaleje piekło. Oczywiście pod warunkiem, że wybrali właściwego partnera.

Ben nie powiedział, że Samanta źle wybrała. Nie musiał.

Jego zachowanie tylko upewniało ją w tym, że dobrze wybrała. Kochała Justina i była szczęśliwa, że wkrótce zostanie jego żoną.

- Może ja płonę tylko przy Justinie - odparła z godnością.

Ben był zły, choć nie wiedział, dlaczego.

- Nie wygłupiaj się - mruknął i wzruszył ramionami.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? - Samanta straciła resztki cierpliwości. - Uważasz się za światowego eksperta od miłości?

- Do tego nie trzeba eksperta. Każdy głupi może stwierdzić, że coś ci dolega. Wyglądasz jak śmierć na chorągwi.

- Czemu się mnie czepiasz? - Samanta się wściekła. Tym bardziej że Marie rano powiedziała dokładnie to samo. - Nie życzę sobie, żeby facet, który miał więcej kobiet niż ciepłych posiłków, prawił mi kazania.

- Kto ci naopowiadał tych głupot? - zdenerwował się Ben. - Oświadczam ci, że ciepłych posiłków było w moim życiu znacznie więcej niż kobiet. Ciekaw jestem, skąd ci przyszło do głowy, że jest inaczej.

Nie rozumiał, dlaczego na siebie krzyczeli. Nie wiedział, co go doprowadziło do furii. W końcu Samanta miała swoje życie, a on swoje. Niby dlaczego miałyby go obchodzić, co się z nią wkrótce stanie. Albo jak ona sobie wyobraża jego życie seksualne.

- Sam mi opowiadałeś, że twoja mama sprowadza do domu biuściaste blondynki, a te, które ty jej przedstawiasz, nie wytrzymują presji. Nie jestem taka głupia, żeby nie wyciągnąć z tego wniosków.

- Czy ty naprawdę myślisz, że dupczę wszystko, co mi się nawinie pod rękę? - wrzasnął urażony Ben.

- Może nie wpadłabym na ten pomysł, gdybyś nie powie-

dział, że Justin jest głupcem, bo ma do mnie zaufanie! - Samanta nie pozostała mu dłużna. - Naprawdę uważasz, że nie wiem, co czuję?

Ben zatrzymał samochód przed domem Harrisów. Z gałęzi rosnącego przed domem drzewa oderwał się liść. Upadł na szybę. Za nim przyfrunął następny. Ale Ben i Samanta byli zbyt wściekli, żeby zachwycić się tym widokiem. Nawet nie zauważyli liści.

Samanta otworzyła drzwi i chciała wysiąść. Pas jej na to nie pozwolił. Odwróciła się więc do Bena, żeby odpiąć krępującą ją klamrę.

- Wcale nie twierdzę, że nie wiesz, co czujesz - powiedział Ben ze stoickim spokojem. Samanta bez trudu odgadła, co przez to rozumiał.

- Jak śmiesz? - syknęła. - Sugerujesz, że wychodzę za niego dla pieniędzy?

- Nie mam pojęcia. - Ben patrzył jej prosto w oczy. - Czy on jest bogaty?

- Wiesz, kim ty jesteś? Zwyczajnym...

W porę ugryzła się w język. Wskoczyła z samochodu i z całej siły trzasnęła drzwiami.

Nie oglądając się za siebie, wbiegła na schodki prowadzące do domu Harrisów i nacisnęła dzwonek. Tak samo niecierpliwie, jak robił to Justin. Tak bardzo chciała znaleźć się jak najdalej od Bena, że zapomniała o tym, jaki harmider robi takie dzwonicie.

Drzwi domu otworzyły się przed nią na oścież.

- Sam! Witaj i wchodź. - Miranda uśmiechała się do niej serdecznie. - Myślałam, że Ben cię przywiezie. Pewnie się spóźni.

- Jak go dostanę w swoje ręce, to na pewno się spóźni! - parsknęła Samanta.



Wyczuła, że Ben stoi obok niej. Powiedziało o tym całe jej ciało.

- Cześć, mamó - odezwał się.

Miranda spojrzała na Samantę, potem na Bena. Samanta była czerwona, miała błyszczące oczy i ciężko oddychała. Oczy Bena lśniły. Miranda dobrze wiedziała, co to znaczy. Jej syn rzadko tracił panowanie nad sobą, ale kiedy już do tego doszło, był straszny.

- Pokłóciliście się? - Odsunęła się, żeby ich wpuścić do domu.

- Nie - odparli jednocześnie. Z taką złością, że Miranda się roześmiała.

- Spotkaliście się dopiero po raz drugi i już znaleźliście powód do kłótni? O coście się pokłócili?

- O to, co zawsze - odparła Samanta, tylko po to, żeby coś powiedzieć.

- O to, co zawsze? - Miranda śmiała się z całego serca.

- A o co zawsze się kłócicie?

Jej śmiech był zaraźliwy. Rzeczywiście, nie mogli się kłócić o to, co zawsze, bo żadnego „zawsze” w ich przypadku nie było. Nie mieli też powodu do kłótni. Samanta się uśmiechnęła. Spojrzała na Bena.

- Nie wiesz? - Ben udał zdziwienie. Też się uśmiechał. Złość na Samantę już mu minęła. Miał ochotę ją pocałować.

- O to, czy posłać dzieci do szkoły państwowej, czy do prywatnej.

- Dobrze, dobrze. Skoro nie chcecie, to nic mi nie mówcie. - Miranda postanowiła nie nalegać.

Pomogła Samancie zdjąć płaszcz i zaprowadziła ją do pokoju. Śmiała się tak, że łzy płynęły jej z oczu.

Ben poszedł za nimi. Zastanawiał się, dlaczego tak się rozzłościł. To, że Samanta chce popełnić ogromny błąd, nie

powinno go obchodzić. Zresztą pewnie miała rację. Może rzeczywiście okazuje radość tylko w obecności narzeczonego.

Mogę się mylić, pomyślał. A, swoją drogą, chciałbym zobaczyć, jak ona promienieje radością. To byłby widok nie z tej ziemi.

Pomyślał też, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby Samanta promieniała z tego powodu, ale ta myśl przemknęła przez jego umysł szybciej, niż się pojawiła.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tego wieczoru do stołu zasiadło znacznie mniej osób niż w poniedziałek. Byli tu Matt z Ellą i Luke z Carol. Simon i Alice zamierzali spędzić sobotę i niedzielę w letnim domku. Mieli wrócić dopiero w poniedziałek rano. Jediną osobą, której Samanta jeszcze nie znała, była Sara, dziewczyna Jude'a. Sara była wysoka, bardzo szczupłą Murzynką. Wyglądała jak modelka, ale okazało się, że po maturze zamierza zdawać na weterynarię.

Przyszła też Judith. Samanta zastanawiała się, czy Ella wciąż ma nadzieję, że jej przyjaciółka zdoła podbić serce Bena. Nie wiedziała, czy nie powinna skierować uwagi Bena na tę dziewczynę.

Mimo że gości było znacznie mniej, poziom hałasu w nich nie ustępował temu sprzed tygodnia. To nieprawda, że wszyscy mówili jednocześnie, choć Samancie - nie przyzwyczajonej do udziału w licznych zgromadzeniach - tak się właśnie wydawało. Każdy czuł się w obowiązku wtrącić swoją uwagę do tego, co powiedział ktoś inny. Rozmowa była żywa, wielowątkowa i ciągle przerywana wybuchami śmiechu.

Po obiedzie goście rozsiedli się na sofach i fotelach, popijając kawę i likiery. Samanta usadowiła na podłodze koło fotela Mirandy. Przypatrywała się mężczyznom, którzy wzięcie o czymś dyskutowali.

Zauważyła, jak bardzo różni się Ben od ojca i od braci. Nie tylko wyglądem zewnętrznym, ale także sposobem bycia. Jasnawłosi giganci siedzieli swobodnie, głośno się śmiali, gestykulowali. Ben zaś mówił cicho, dobitnie. Gdy odzywał się któryś z braci, reszta mogła w tym czasie rozmawiać o czymś innym, ale gdy Ben wyrzekł choćby słowo, całe towarzystwo natychmiast milkło i wszyscy uważnie słuchali, co ma do powiedzenia. Nawet gdy mówił o samochodach, na których jego bracia znali się znacznie lepiej od niego, i tak słuchali go z uwagą, jakby był ekspertem.

- Do ciebie też nie jest podobny - powiedziała zamyślona Samanta.

Miranda od razu się zorientowała, że chodzi jej o Bena. Przez cały wieczór obserwowała, jak Samanta i Ben na siebie patrzą. Nigdy nie robili tego jednocześnie. Gdy jedno patrzyło, drugie miało oczy spuszczone. I na odwrót.

Powinam się domyślić, że Ben w końcu zakocha się w zupełnie innej kobiecie niż te, którymi dotąd się interesował, pomyślała Miranda. Jest taki uparty, że gotów zrobić na przekór nawet własnym gustom. Ale istnieje ten przekłety Justin McCourt. Zupełnie nie pasuje do naszej Sam. Syn Veroniki Taggart i Hala McCourta nie może do niej pasować. Oni mają w żyłach formalinę zamiast krwi. Samanta zaś jest jak ogień. Tak samo jak Ben. Nie wiem, pod jakim pretekstem spotyka się z Benem, ale dobrze robi. Widocznie czuje - chociaż pewnie jeszcze o tym nie wie - że Ben jest dla niej stworzony. Dobrze, że dotąd nie wyszła za Justina.

- Artur nie jest biologicznym ojcem Bena - wyjaśniła Miranda. - Ben się urodził, kiedy miałam siedemnaście lat. Artur go adoptował po naszym ślubie. Obiecał, że wychowa go jak własnego syna, i dotrzymał słowa.

- Ach, tak! - Samanta zerknęła na Bena. - On rzeczywi-

ście jest zupełnie inny. Przynajmniej w tej jednej sprawie miałaś rację.

Miranda bardzo się ucieszyła. Samanta powiedziała „on”, jakby w pokoju był tylko jeden mężczyzna.

- Jego ojciec był taki sam. Bardzo energiczny, żywotny, twórczy. Wcielenie siły. Zakochałam się w nim, zanim zdążył się do mnie odezwać.

- Jak go poznałaś? - zapytała z ciekawością Samanta.

- Byłam wtedy hippiską. Jedną z pierwszych. - Miranda uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Wtedy nie używano jeszcze nawet tej nazwy. Nazywano nas bitnikami. Szwendałam się po dzielnicy artystów. Na Yorkville Avenue było mnóstwo kafejek. Mężczyźni grali w szachy, śpiewali przy gitarach. Michael koncertował w jakiejś piwnicy. Bardzo pięknie śpiewał. Weszłam tam kiedyś podczas jego występu.

Miranda wspominała przeszłość. Uśmiechała się i Samancie wydało się, że odmłodziła.

- Grał i śpiewał przy blasku świec. Stałam przy wejściu. To była maleńka piwniczka z kilkoma stolikami. Stałam i patrzyłam na niego. Nigdy w życiu nie spotkałam mężczyzny, który byłby do niego podobny. Zauważył, że mu się przyglądam, i zaśpiewał „Ktoś się uśmiecha”. Byłam w siódmym niebie. Wiedziałam, że śpiewa dla mnie i że to on się uśmiecha. Do mnie. No cóż...

Miranda westchnęła. Spojrzała na Bena, potem na Samantę.

- Każda dziewczyna powinna stracić dziewictwo w takim uniesieniu. Potem paskudnie mnie potraktował, ale nigdy nie żałowałam tamtych kilku miesięcy. Od początku nie miałam szans, by go przy sobie zatrzymać. Byłam za młoda, żeby sobie z nim poradzić. Gdybym była mądrzejsza, bardziej dojrzała, na pewno by się ze mną ożenił. Chociaż wła-

ściwie powinnam dziękować Bogu, że do tego nie dopuścił. Po tym, jak Ben przyszedł na świat, nasz związek i tak by się rozpadł. Nawet gdyby był jak najbardziej legalny. Michael nie byłby takim dobrym ojcem jak Artur.

- To chyba niemożliwe, żeby przybrany ojciec był lepszy od rodzonego. - Samanta była zachwycona opowieścią. Chciała, żeby Miranda jej nie przerywała.

- Możliwe. Michael miał duszę artysty. Był zbyt impulsywny. Nadal jest mężem Patrycji. Nie wiem, jak ona z nim wytrzymuje. W każdym razie nigdy nie popełniła tego błędu, żeby mieć z nim dzieci. Za to Ben dostał to, czego potrzebuje chłopiec z jego temperamentem. Miał przy sobie silnego mężczyznę, dzięki któremu jego błyskotliwa inteligencja mogła się w pełni rozwinąć. Ben jest wartościowym człowiekiem. Przekonasz się. Nie musisz się obawiać, że zostawi cię samą właśnie wtedy, kiedy najbardziej będziesz go potrzebować.

Samanta nagle spadła z obłoków na ziemię. Bardzo się potłukła. Spojrzała na Mirandę z wyrzutem.

- Obiecałaś! - powiedziała.

- O, przepraszam! - Miranda zakryła sobie usta dłonią. - Zupełnie zapomniałam. To naprawdę jest silniejsze ode mnie.

Roześmiała się. Miała taki zaraźliwy śmiech. Samanta nie mogła się powstrzymać i zaczęła jej wtórować.

- Naprawdę nic złego nie miałam na myśli - zapewniała ją Miranda. Postanowiła bardziej się pilnować. Nie chciała zepsuć tego, co narodziło się pomiędzy Benem i Samantą. - Przecież wiem, że jesteś szczęśliwa.

- Nawet bardzo - potwierdziła Samanta.

Nagle pożałowała, że Justin nie kupił jej gotowego pierścionka. Miałyby przy sobie coś, co przypominałoby jej o rzeczywistości.

- Świetnie się rozumiecie z moją mamą - zauważył Ben, kiedy odwoził Samantę do domu.

- Przekonywała mnie, że będziesz dobrym mężem.

- Nie powiedziałaś jej, że masz lepszego kandydata? Nie byłbym w stanie stworzyć ci takich warunków, jakie może ci zapewnić McCourt.

- Justin nie musi mnie utrzymywać. Sama jakoś sobie radzę.

- To bardzo dobrze o tobie świadczy - wyłoshił się Ben. - O czym jeszcze rozmawiałaś z moją mamą? O moich wadach na pewno ci nie mówiła. Jest za sprytna na to, żeby zniechęcić potencjalnego kupca.

- Skąd pewność, że rozmawialiśmy o tobie?

- To ulubiony temat mojej mamy.

Skręcili w boczną, słabo oświetloną uliczkę. Nagle Ben gwałtownie zahamował. Z pobliskiego domu wybiegły trzy postacie. Wpadły prosto pod stojący już samochód. Jedna z nich otarła się o zderzak.

Samanta krzyknęła. Zakryła twarz dłońmi.

- Jakim cudem ich zauważyłeś? - zawołała.

Ben zdjął nogę z hamulca. Spojrzał na dom, z którego wybiegli mężczyźni. Samanta też popatrzyła w tym kierunku. Dopiero teraz zauważyła rozbitą szybę i otwarte na oścież drzwi.

- Włamywacze - powiedział Ben. Był zupełnie spokojny.  
- Dzwoni na policję.

Samanta wyjęła telefon, wybrała numer pogotowia policyjnego.

- Przyzwyczajenie zawodowe? - zapytała, czekając na połączenie. Pierwszy raz miała do czynienia z człowiekiem o tak wyostrzonych zmysłach.

- W pewnym sensie. - Ben wzruszył ramionami. - Latarnia rzucała długi cień.

Samanta zrelacjonowała dyżurnemu policjantowi, co się stało. Natychmiast przełączono ją na częstotliwość, na której pracowały policyjne radia. Jeszcze raz powtórzyła kilku patrolom to, co zobaczyła.

Kilka minut później dotarli na miejsce. Samanta nie mogła odżałować, że nie dokończyli rozmowy.

- Wejdiesz na górę? - zapytała.

Ben tak jakoś dziwnie na nią popatrzył. Samancie zrobiło się nieswojo.

- Chodziło mi o to... - plątała się coraz bardziej. - Myślałam, że będziesz chciał trochę ochłonać.

Ben uśmiechnął się. Białe zęby zaśniły w ciemności. Trudno byłoby wyobrazić sobie kogoś spokojniejszego, bardziej opanowanego niż ten mężczyzna.

- Chyba jednak nie - powiedziała Samanta, zanim zdążył się odezwać.

- Mam cię odprowadzić? - zapytał. - Zdenerwowałaś się?

Samanta wcale się nie zdenerwowała. Ben zapobiegł niebezpieczeństwu, zanim ona zdołała je zauważyć.

- Nie. Ja tylko...

Wyciągnął rękę. Pogłaskał ją po policzku.

- Myślałaś, że muszę ochłonać - powiedział cicho. - Gdybym teraz wszedł do twojego domu, na pewno bym nie ochłonał. Mam wrażenie, że będzie lepiej, jeśli tu zostanę.

- Tak... Chyba tak. - Serce Samanty biło jak młot pneumatyczny. Bała się, że ogłuchnie. - Dobranoc.

- Mama na pewno będzie chciała wiedzieć, co robiliśmy - Ben głaskał ją po twarzy.

Samanta przypomniała sobie, jak ją pocałował. Wyjaśnił, że muszą uzgodnić zeznania, czy coś w tym rodzaju. Teraz też się nad nią pochylił.



Z tyłu podjechał drugi samochód. Policjny. Ben odsunął się od Samanty. Opuścił szybę.

- Dobry wieczór - powiedział.

- Dobry wieczór. Czy to państwo zawiadomili nas o włamaniu?

- Tak, to my. Udało wam się złapać rabusiów?

- Jeden z patroli ich zauważył, ale uciekli podwórkami. Kilka samochodów przecięło im drogę. Mamy nadzieję, że zostaną złapani. Może mogliby państwo coś jeszcze nam o nich powiedzieć?

Ben opisał policjantowi człowieka, którego zobaczył, Samanta też dodała coś od siebie i policjanci odjechali.

Ta przerwa okazała się zbawienna dla zdrowia psychicznego Samanty. W zeszłym tygodniu, kiedy Ben ją pocałował, była jeszcze wolną kobietą. Teraz - niezależnie od tego czy miała, czy nie miała na palcu pierścionka - była już zaręczona.

- Dobranoc, Ben - powiedziała.

- Odprowadzę cię.

Jego słowa były kompletnie pozbawione emocji. Na pewno nie miał zamiaru jej uwodzić.

- Dobranoc - pożegnał ją, kiedy weszli do holu. Pocałował Samantę w policzek. - Spij dobrze.

Wrócił do samochodu. Samanta patrzyła, jak odchodzi. Dziwnie się czuła. Jakby czegoś żałowała.

Justinowi pierścioneł sienie spodobał. Był, jego zdaniem, zbyt konwencjonalny. Poleciał więc umieścić oba turkusy po tej samej stronie diamentu, lecz złotnik nieprecyzyjnie wykonał jego projekt.

- Turkusy znajdują się za blisko siebie - powiedział takim tonem, jakby od układu kamieni w zaręczynowym pierścionku zależały losy świata.

- Czy to jakiś symbol? - zapytała Samanta.

- Nadawanie symbolicznego znaczenia pierścionkom nie jest w moim stylu - odparł Justin z godnością. - Rozumie pan, o co mi chodzi? - zapytał jubilera. - Ten kamyk trzeba trochę podnieść i będzie dobrze.

Jubiler notował uwagi Justina na kopercie. Samanta zrozumiała, że dziś jeszcze nie dostanie pierścionka.

- To bardzo piękny pierścionek, kochanie - zapewniła Justina pośpiesznie. - Czy naprawdę musimy go przerabiać?

Przypomniały się jej słowa Bena: „Gdybyś przyjęła moje oświadczyzny i nie mógłbym od razu dać ci pierścionka, nosiłabyś na palcu cokolwiek. Choćby wygięty spinacz biurowy”.

A Justin zachowywał się tak, jakby nie zależało mu na tym, by ludzie wiedzieli, że Samanta należy tylko do niego.

- Nie denerwuj się, kochanie - powiedział ze zwykłą u niego pewnością siebie. - Nie mam zamiaru zmienić zdania tylko dlatego, że pierścionek będzie gotów dopiero za tydzień.

Samanta zdrętwiała. Justin oczywiście niczego nie zauważył, ale jubiler był bardziej spostrzegawczy.

- Co za ulga - westchnęła głucho.

Jubiler, potężny, jowialny Azjata, spojrzał na nią porozumiewawczo. Jakby chciał powiedzieć, że powinna skorzystać z okazji i jeszcze raz przemyśleć swoją decyzję. Samanta spuściła głowę. Z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Trochę się dziwiła, że Justin niczego nie zauważył.. Dotąd uważała go za człowieka wrażliwego, reagującego na najdrobniejsze nawet niuanse. Tym razem zachował się inaczej. Może dlatego, że nazajutrz wyjeżdżał na sympozjum i miał jeszcze milion spraw do załatwienia. Nawet najbardziej wrażliwy czło-

wiek traci zainteresowanie innymi sprawami, kiedy jest bardzo zajęty jedną, szczególnie ważną.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że nie odprowadzę cię do domu? - zapytał Justin, kiedy wyszli na zalaną jesiennym słońcem ulicę. - Muszę wpaść do Gucciego po nowy pasek do walizki i dopilnować tysiąca innych drobiazgów.

- Nie ma sprawy. - Samanta wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Szczęśliwej podróży!

Justin wreszcie coś zauważył. Może nie spodziewał się, że Samanta tak szybko się zgodzi. Czyżby myślał, że jego narzeczona zechce razem z nim biegać po sklepach? A może poczuł chłód, którym od niej powiało.

- Przecież jeszcze się nie żegnamy - stwierdził. Przytulił ją do siebie i mocno pocałował w usta.

Stanowili bardzo piękną parę. Justin - wysoki, jasnowłosy, elegancko ubrany. Samanta - szczupła, ze starannie upiętymi ciemnymi włosami, w szykownych spodniach i żakiecie, które kupił jej Justin. Nieczęsto widuje się takie pary całujące się namiętnie na środku ulicy. Mijający ich ludzie uśmiechali się, a dwie osoby przystanąły, żeby im się lepiej przyjrzeć.

- Sam! - zawołała jedna z tych osób, kiedy Justin przestał ją całować.

Samanta spojrzała w tamtą stronę.

- Cześć, Ella! Witaj, Judith! - Zauważyła, że Judith patrzy na nią z obrzydzeniem. - Chciałabym wam przedstawić Justina. Justin, to Ella i Judith.

Samanta wolała nie tłumaczyć, kto jest kim. Nie bardzo wiedziała, dlaczego, ale jakoś nie miała na to ochoty. Justin zresztą szybko się pożegnał i jeszcze szybciej zniknął w tłumie.

## TAKA MIŁA DZIEWCZYNA

- Wstąpimy gdzieś na kawę? - zapytała Ella.

Judith była umówiona z fryzjerem i nie miała czasu. Była nadąsaną i ledwo raczyła się z nimi pożegnać.

- Czy Judith się na mnie gniewa? - zapytała Samanta, kiedy obie z Ellą siadły przy kawiarnianym stoliku. - Tak na mnie patrzyła, jakby chciała mnie zabić wzrokiem.

- No wiesz, tak namiętnie się całowaliście - roześmiała się Ella. - Na ulicy!

- Uważasz, że dlatego się dąsała? - zdziwiła się Samanta. Dla niej był to całkiem zwyczajny pocałunek.

- Ona myśli, że jesteś narzeczoną Bena - przypomniała jej Ella.

- Ale przecież... - Samancie zrobiło się trochę głupio. - Wszyscy się śmialiście, kiedy Ben to powiedział. Czy nikt nie uświadomił Judith, że to był tylko żart?

- A po co? - Ella wzruszyła ramionami.

- Myślałam, że chcesz, aby Ben się nią zainteresował.

- Ja chciałam, ale on nie.

- To przecież nic straconego.

- Mylisz się. - Ella pokręciła głową. - Ben jest bardzo impulsywny, a Judith nie jest kobietą, do której można się stopniowo przyzwyczaić. Można się w niej zakochać albo od pierwszego wejrzenia, albo wcale.

- Więc ona myśli, że zdradzam Bena z Justinem? - przeraziła się Samanta.

- Też bym chciała wiedzieć, co ty wyczyniasz.

- Nie rozumiem.

- Miranda mówiła, że jesteś zaręczona z Justinem.

- Bo jestem. Zamówiliśmy pierścionek...

- Może jestem głupia, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego wobec tego chodzisz z Benem. Miranda uważa, że nie możesz się zdecydować.

Samanta wreszcie pojęła, w jakiej głupiej sytuacji się znalazła. Połowa jej znajomych sądzi, że zdradza Justina z Benem, reszta zaś, że oszukuje Bena.

- Zresztą to nie moja sprawa - powiedziała szybko Ella.

- O rany - westchnęła Samanta. - Nie powinnam była dać się namówić na ten cały spisek. Teraz wszystko się poplątało! Co będzie, jeśli Justin się o wszystkim dowie? Nawet jeśli mu powiem prawdę, to nie uwierzy.

- A Ben by uwierzył?

Oczywiście, Ellę tylko Ben interesował. Justin nic a nic ją nie obchodził. Samanta pewnie zresztą też nie.

- Ben o wszystkim wie - przyznała Samanta. - Prosił mnie, żebym udawała jego narzeczoną. Najpierw pomogłam Mirandzie spiskować przeciwko Benowi, a teraz uczestniczę z Benem w zмовie przeciwko Mirandzie. Tylko, błagam cię, nic jej nie mów!

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Czy to ty, Sam? Mówi Stella.
- Cześć, Stello. Jak leci?
- Marnie. Lany się przeziębził, a teraz ma grypę. Udało mi się go namówić, żeby poleżał w łóżku. Głupio wyszło, ale wolałabym, żebyś do nas nie przychodziła. Boję się, żebyś się od niego nie zaraziła.

Samanta miała ochotę zaprotestować. Z dwojga złego wolała złapać grypę, niż samotnie siedzieć w domu. Wtenjeden dzień roku za nic na świecie nie chciała tego robić. Oczywiście nie protestowała. Miała wielu przyjaciół, ale żadnemu z nich nie mogła powiedzieć: „dzisiaj jest czwarty listopada, więc wolałabym nie być sama”.

Nic mi nie będzie, przekonywała samą siebie. Tęsknię za Justinem, ot co!

Pierwszy tydzień jego nieobecności włókł się w nieskończoność. Justin był w Wenecji. Odbywała się tam trzydniowa konferencja, na którą został zaproszony. W następnym tygodniu miał wziąć udział w następnej konferencji. Tym razem w Niemczech.

- Przekaż Larry'emu pozdrowienia ode mnie - powiedziała Samanta.

Odłożyła słuchawkę. Zupełnie niechcący pomyślała o obiedzie u Harrisów. Tęskniła za panującą tam atmosferą, ale wiedziała, że nie może do nich pójść. Obiecała to sobie<sup>1</sup> miała zamiar łamać danego słowa. Spotkanie z Ellą

i Judith uzmysłowiło jej, jak głupio się zachowała. Postanowiła zakończyć tę ryzykowną grę, choć ani Mirandzie, ani Benowi jeszcze tego nie powiedziała.

Nie wiiziała ich już od dwóch tygodni. W pierwszą niedzielę po wyjeździe Justina była na obiedzie u McCourtów, a w następnym tygodniu wymówiła się pracą. Ale znów była niedziela, z, a oknem wiał lodowaty wiatr, a Samanta nie miała nic dojedzenia.

Dzwonek telefonu wbił się klinem w jej ponury nastrój. Wiedziała, kogo się spodziewać, zanim jeszcze podniosła słuchawkę

- Mówi Miranda. Przyjdiesz do nas dzisiaj? Ben powiedział, że nie wie, czy będziesz mogła.

Zaproszenie było takie zwyczajne, jakby Samanta od lat co niedziea przychodziła na obiady do Harrisów. Wyjrzała przez okno. Dostrzegła pierwsze w tym roku płatki śniegu. Zadrżała. Bała się pierwszego dnia zimy.

- Nie nogę - odparła bardziej ponuro, niż zamierzała. - Mówiłam o tym Benowi, ale pewnie zapomniał. Dziękuję za zaproszeni;

Mirandi czuła, że wszystko wymyka jej się z rąk. W duchu przeklinała Judith, która musiała się znaleźć w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Nie przestawała się dziwić, jakim cudem rodzice wychowali Judith na tak nieprzejednaną zwolenniczkę surowych norm moralnych. Przecież oboje znała doskonale.

To pewnie reakcja na postawę rodziców, pomyślała zde gustowana Miranda. Może gdyby Niki była trochę bardziej konwencjojalna, jej córka nie byłaby konwencjonalna aż do przesady. Nki do dziś nosi długie kolorowe spódnice i wpina kwiaty w rozpuszczone włosy. Dokładnie tak samo jak trzydzieści lat emu.

- Wiem od Elli o waszym spotkaniu - powiedziała Miranda. - Chciałam cię tylko zawiadomić, że Judith nie została zaproszona.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Oto, że...

Samanta nagle poczuła się bardzo zmęczona. Jak miała wytłumaczyć Mirandzie, że tęskni za Harrisami? Jak powiedzieć, co zaobserwowała podczas obiadu u McCourtów? Jak wyjaśnić, że po raz pierwszy od wielu lat przyszło jej do głowy, że ich chłodny sposób bycia może oznaczać brak serca? Do niedawna uważała, że ta rodzina po prostu taka jest: nie przytulają się, nie całują, rzadko się śmieją, ale w głębi serca bardzo się kochają. Dopiero przed tygodniem zaczęła się zastanawiać, czy taka dwoistość w ogóle jest możliwa. Nie chciała myśleć w ten sposób o swojej przyszłej rodzinie. Nie chciała - świadomie czy podświadomie - wiecznie porównywać ich z Harrisami.

I jeszcze Justin... Kiedy był poza domem, zachowywał się serdecznie, jak normalny, czuły mężczyzna. Ale gdy tylko znalazł się w pobliżu rodziców, natychmiast się do nich upodabniał.

Samanta doszła do wniosku, że im rzadziej będzie się widywała z Harrisami, tym lepiej.

- Czy masz na dzisiaj jakieś konkretne plany? - dopytywała się Miranda.

- No cóż...

Gdyby Miranda zadzwoniła wcześniej, przed rozmową ze Stella, pomyślała Samanta. Gdybym tylko miała jakąś wymówkę. Gdyby nie to, że dziś jest czwarty listopada!

- Stęskniliśmy się za tobą. Przyjedź do nas. Bardzo cię proszę.



Płatki śniegu coraz natarczywiej dobijały się do okna. Jakby chciały zamrozić Samantę.

- Mirando! Ja naprawdę...

- Doskonale - przerwała jej Miranda. - Powiem Benowi, żeby po ciebie przyjechał. Jak zwykle o szóstej. Tylko ubierz się ciepło. W radiu mówili, że przyszła zima.

- Mam wrażenie, że śnieg nawet Harrisów wycisza - powiedziała Samanta, gdy jechali ośnieżonymi ulicami miasta.

Wieczór u Harrisów przebiegł nieco inaczej niż poprzednie. Było ciszej, spokojniej. Mówiono o nadchodzących świętach Bożego Narodzenia i bliskich narodzinach dziecka Carol.

- Wiele rzeczy ich wycisza, ale na krótko. Dobrze się dzisiaj bawiłaś?

Zatrzymał się na czerwonym świetle. Samanta zagryzła wargę. Nawet tego nie zauważyła. Nie spostrzegła także, że Ben się jej przygląda.

- Co ci jest, Sam? - zapytał. - Jesteś dziś bardzo zdenerwowana. Czy to przez moją rodzinę?

- Skądże! Bardzo ich wszystkich lubię. To naprawdę... To nie ma żadnego związku z terażniejszością.

Ben się rozejrzał. W pobliżu skrzyżowania, na którym stali, był niewielki parking. Wjechał tam i zatrzymał samochód.

- Może chciałabyś mi o tym opowiedzieć? - zapytał.

Odpiął pas, odwrócił się do Samanty.

- Nie ma o czym mówić - szepnęła i wzruszyła ramionami. - Po tylu latach nie powinno mnie to aż tak boleć. Dziś jest rocznica śmierci moich rodziców.

- Tak mi przykro! - Ben ujął ją za rękę. Podniósł jej dłoń do ust i pocałował.

Samanta nie chciała jego współczucia. Miała zamiar mu to powiedzieć, a tymczasem zaczęła mówić o wydarzeniach sprzed lat.

- Moi rodzice zginęli siedemnaście lat temu. Nie wiem, dlaczego w tym roku tak bardzo to przeżywam. Właśnie tego dnia przyszła zima. Jesień była piękna. Przez cały październik podziwialiśmy babie lato. Gdy rodzice wyjechali, spadł śnieg. Bardzo dużo go napadało. Odtąd zawsze pierwszy dzień zimy kojarzy mi się z przeżywaną tragedią. A w tym roku pierwszy śnieg spadł akurat w rocznicę śmierci moich rodziców. Dlatego tak mi źle.

- Jak to się stało? - Ben nie puścił jej dłoni.

- Katastrofa lotnicza. Rodzice lecieli do Stanów Zjednoczonych. Samolot rozbił się, podchodząc do lądowania. - Samanta uśmiechnęła się smutno. - Nigdy nikomu o tym nie opowiadałam.

I bardzo dawno nie płakała. Dziadkowie nie pozwalali swoim wnukom płakać. Uważali, że trzeba zapomnieć o przeszłości i żyć terazniejszością. Samanta i Ezra nauczyli się tak żyć.

- Mama była w ciąży. Była przekonana, że urodzi dziewczynkę. Czasem myślę, że mogłabym mieć siostrę. Za miesiąc skończyłaby siedemnaście lat. Zdarza się, że tęsknię za nią tak samo jak za rodzicami.

Łzy napłynęły jej do oczu. Samanta odetchnęła głęboko. Nie rozpłakała się.

Ben pogłaskał ją po głowie. Kiedy się opanowała, zapiął pas i włączył silnik. Zawrócił.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwiła się Samanta.

- Nie zostawię cię samej w taką noc. W pracowni mam dodatkowe łóżko.

- Naprawdę nic mi się nie stanie! - Samanta bała się, że zaraz się rozpłacze.

- Ale chyba nic w tym złego, jeśli ktoś się tobą zajmie?  
Troskliwość Bena sprawiła, że coraz trudniej było jej powstrzymać się od płaczu. Samanta zacisnęła powieki.

Ben mieszkał w pięknym starym iomu z czerwonej cegły. Jego mieszkanie zajmowało dwa ostatnie piętra budynku.

Pomógł Samancie zdjąć płaszcz, po czym wprowadził ją do przestronnego pokoju z oknami na trzy strony świata i mnóstwem książek. Posadził ją na kanapie, a sam poszedł do kuchni, żeby zaparzyć kawę.

- Naprawdę nie musisz się mną zajmować - wzbraniała się Samanta. W głębi duszy była jednak szczęśliwa, że znalazła się w tym przytulnym miejscu

- Nie wygłupiaj się! - Ben nawet na nią nie spojrział.

Przykłęknął, zapalił ogień na koninku. Kominek musiał mieć wspaniały ciąg, ponieważ ogień natychmiast zapłonął jasnym, wysokim płomieniem.

Chwilę później Ben postawił przed nią filiżankę z kawą, kieliszek brandy i talerzyk z herbatnikami.

Rozmawiali jak starzy przyjaciele. Najpierw o katastrofie, która tak dramatycznie zmieniła życie Samanty. Potem Ben opowiedział jej o swoim dzieciństwie. O tym, jak Artur Harris oświadczył mu, że będzie się nim zajmował, i jak od tamtej pory Ben uważał go za ojca, choć swego biologicznego rodzica też bardzo podziwiał, ale tylko jako artystę.

- Nie wiedziałam, że jest artystą. Powiesz mi, jak się nazywa?

- To żadna tajemnica. Moim ojcem jest Michael Welsh.

- O rany! - wykrzyknęła Samaria. Nawet ona знаła to nazwisko. Michael Welsh rzeźbił i nalował i... Roześmiała się.

- Z czego się śmiesz? - Chciał się śmiać razem z nią.

- Czy znasz taką rzeźbę swojego ojca, która nosi nazwę „Głód”? Płatanina nóg, rąk i ust.

- Pewnie, że ją znam. Oryginał stoi w jakimś budynku w Montrealu, ale nie pamiętam, w którym. Ojciec zrobił też dwie czy trzy mniejsze kopie swojego arcydzieła. Chyba w brzoju.

- Jedna z nich stoi w salonie Justina.

- I on może na nią patrzeć? - zdziwił się Ben. - Wiesz, to bardzo dobra rzeźba, ale trzeba na nią spoglądać z pewnej odległości. Nie wiem, jak można trzymać coś takiego pod swoim dachem.

Samanta zawsze uważała, że ta rzeźba nie pasuje nawet do minimalistycznie urządzonego salonu Justina. Ucieszyła się, że ktoś jeszcze - i to nie byle kto - podzielał jej pogląd. Znow się roześmiała.

- Naprawdę chcesz poślubić salon, w którym stoi „Głód”? - zażartował Ben.

- Zwariowałaś! Veronika... Matka Justina nazywa się Veronika Taggart i jest dekoratorką wnętrz. Ona mówi, że mieszkanie Justina to jej sztandarowy projekt. On zaś chce kupić inne mieszkanie. W domu Romanowów. Wiesz, który to budynek?

- To chyba niedaleko stąd?

- Zgadza się. Justin złożył już ofertę.

Świetne miejsce dla bogacza, który chce się pochwalić swoimi pieniędzmi, pomyślał Ben. Bóg jeden wie, dlaczego Samanta tak zachłannie dąży do zabezpieczenia sobie dobrobytu. Może przez te straszne przeżycia z dzieciństwa. Cokolwiek by to było, udało jej się.

- Czy to nowe mieszkanie Justina też będzie urządziła kronika? - zapytał.

- Na pewno nie! - Samancie omal się nie wyrwało,

że nigdy na to nie pozwoli. - Justin mi obiecał... On nie chce mieszkać w kolejnym pokazowym wnętrzu. Przykro mi to mówić, ale nie przepada za rzeźbą twojego ojca. Jedyny z niej pożytek jest taki, że można się nią pochwalić.

Minęła już druga, kiedy Samanta przypomniała sobie, że rano musi wcześniej wstać. Ben zaprowadził ją do swojej sypialni i dał dużą bawełnianą koszulkę.

Pięć minut później Samanta leżała w wielkim łóżku, otulona ciepłą kołdrą. Było jej tak dobrze, że zapomniała, dlaczego się tu znalazła. Zasnęła natychmiast.

- Dzień dobry.

Samanta ziewnęła i przeciągnęła się. Czuła się błogo. Słońce świeciło jasno, odbijało się od śniegu. W drzwiach sypialni stał Ben w narzuconym na piżamę spłowiałym szlafroku, który kiedyś był granatowy.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Jak ci się spało? - spytał, uśmiechając się do niej.

- Spałam jak zabita.

- Za to teraz wyglądasz kwitnąco.

Choć Ben bardzo się starał, choć usilnie się do tego namawiał, nie mógł od niej oderwać wzroku.

Samanta roześmiała się. Usiadła, odgarnęła włosy do tyłu. Czuła się wyspana i radosna.

- Tu musi być wspaniałe powietrze - powiedziała.

- A towarzystwo nie ma żadnego znaczenia?

- Jakie znów towarzystwo? Przecież spałam sama. Nawet misia nie masz.

- Mam, ale on śpi ze mną.

- Spisz z misiem? - Samanta wybuchnęła śmiechem. - Nie wierzę!

Ben wyjął z szafy całkiem nowy szlafrok i podał go Samancie.

- Chodź, coś ci pokażę - powiedział.

Sąsiadujący z sypialnią pokój miał podłogę z desek i był pełen sprzętu fotograficznego. W jednym kącie stało wąskie łóżko, na którym leżał skotłowany śpiwór. Na ścianach i na pochyłym suficie wisały oprawione w ramki fotogramy.

Naprzeciwko łóżka widniało zdjęcie, które Samanta знаła. Zdjęcie przedstawiało ulicę zbombardowanego miasta. Na ulicy pełno było gruzu, w oddali majaczyły resztki kościelnej wieży. Na pierwszym planie widniał porzucony pluszowy miś. Ów miś nie miał jednego oka. Zamiast niego przyszyto mu guzik. Futerko na jednym uchu było całkiem wytarte, pewnie od ciągłego głaskania kochającej rączki. Miś wyciągał łapki do patrzącego, jakby prosił, żeby ktoś go przytulił.

Jedna z gazet wydrukowała to zdjęcie na pierwszej stronie. Jakies dwa lata temu.

- Czy to Sarajewo?

- Czeczenia.

- Rozpłakałam się, kiedy zobaczyłam to zdjęcie. - Ten milczący protest przeciwko wszelkim wojnom teraz także wzruszył Samantę.

- A niech to! - Ben położył dłoń na jej ramieniu. - Nie chciałem cię zasmucać z samego rana.

Wyprowadził ją z pracowni i zamknął drzwi.

- Nie pozwolisz mi obejrzeć pozostałych zdjęć?

- Na pewno nie przed śniadaniem. Przywykłem do tych zdjęć i zapominam, jakie wrażenie robią na ludziach. Idziemy.

Zeszli na dół wąskimi, krętymi schodkami. W kuchni było słonecznie i miło. Pachniała świeżo zaparzona kawa.

- Chciałam cię o coś zapytać - odezwała się Samanta,

kiedy siedzieli przy śniadaniu. - Znalazłeś tego misia, czy sam go tam położyłeś?

- Znalazłem. - Ben uśmiechnął się.

- Czy czasami... Widzisz, ktoś mi mówił, że widział, jak fotograf komponuje scenę... To dziecko na murze berlińskim, które wypuszcza białego gołębia... Jeden mój znajomy widział, jak fotograf kupił tego gołębia i zapłacił dziecku, żeby go wypuściło.

- Zgadza się - potwierdził Ben.

- Czy ty często robisz takie rzeczy?

- Nigdy.

- Dlaczego?

- Ja fotografuję wojnę. Jest paskudna. Brzydsza, niż można ją sobie wyobrazić. Na wojnie zawsze jest mnóstwo tematów do zdjęć. Aż za dużo. Wszystko, na co się spojrzy, doprowadza człowieka do rozpacy.

Samanta piła kawę i patrzyła na Bena. Zachowywał się swobodnie, nawet się nie uczesał. Ale i tak czuć w nim było ogromną siłę. Pomyślała sobie, że wyglądam jak wygrzewający się na słońcu rozleniwiony kot, który w każdej chwili gotów jest do skoku.

- Dziękuję za wczorajszy wieczór - powiedziała. - Przykro mi, że cię wygoniłam z takiego wygodnego łóżka.

Spojrzała prosto w oczy. Nawet gdyby chciała, nie mogłaby się teraz poruszyć.

- Jest do twojej dyspozycji - rzekł i uśmiechnął się. - Kiedy tylko zechcesz.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Marie stanęła na schodach.

- Jesteś wreszcie! - zawołała, gdy tylko Samanta wyszła z windy. - Gdzieś ty się podziewała?

Samanta nie rozumiała, co wstąpiło w sąsiadkę. Marie nie była wścibska, więc skąd nagle... Otworzyła drzwi swego mieszkania i zaprosiła maleńką kobietkę do siebie.

- Zrobić ci coś do jedzenia? - zapytała. - Wyglądasz tak, jakbyś umierała z głodu.

- Jestem głodna jak wilk - przyznała Marie. - Chętnie napiję się kawy. Z cukrem. Justin dzwonił. Z Niemiec, wczoraj wieczorem. O mało nie umarłam.

Samanta się zaczerwieniła. Marie dyskretnie spuściła wzrok.

- Po co dzwonił? - Samanta była zła na siebie za ten rumieniec, który sugerował, że robiła coś, co nawet do głowy jej nie przyszło. - Co ci powiedział?

- Próbował cię znaleźć. - Marie usiadła przy stole. - Zapomniałaś włączyć automatyczną sekretarkę i dlatego zadzwonił do mnie. Powiedziałam mu, że jesteś u Stelli. Przepraszam, Sam. Naprawdę myślałam, że tam poszłaś.

- Miałam zamiar, ale...

- Przepraszam, przepraszam! Justin zadzwonił do Stelli, a potem znowu do mnie. Powiedział, że tam też cię nie ma. Prosił, abym ci przekazała, że masz do niego zadzwonić, jak tylko wrócisz.



No i masz babo placek! pomyślała Samanta. Teraz będę musiała tłumaczyć coś, czego nie da się wyjaśnić.

- Czego chciał? To takie do niego niepodobne.

Przyszło jej do głowy, że może niepotrzebnie się złości. Justin mógł przypomnieć sobie o rocznicy śmierci jej rodziców i zadzwonił, żeby nie czuła się samotna. Pozałowała, że skorzystała z zaproszenia Bena. Nie musiała, skoro miała Justina.

- Podobno jego siostra jest w szpitalu. Coś wzięła. O ile dobrze zrozumiałam, to pani McCourt nie może jej tego zobaczyć.

- O Boże! - Samanta pobladła. - Co jej jest? Czy wyzdrowieje?

- Justin nie wiedział. Chyba miał nadzieję, że pójdziesz do szpitala i czegoś się dowiesz. Powiedział, że Veronika tam raczej nie pójdzie. Naprawdę niewiele z tego wszystkiego zrozumiałam.

Samanta natychmiast zadzwoniła do Justina. Recepcjonistka poinformowała ją, że pan McCourt już się wyprowadził. Widocznie skrócił swój pobyt w Niemczech. Domowy numer McCourtów był zajęty.

- Powiedział ci, w którym szpitalu jest Simone? - zapytała.

- W Toronto General - odparła Marie.

- Cześć. - Samanta pochyliła się nad łóżkiem. Pocałowała Simone w czoło. - Jak się czujesz?

- Jakie one śliczne! - Simone uśmiechnęła się, biorąc od Samanty bukiet róż. - Dziękuję. Tak się cieszę, że przyszałaś. Nikt inny się nie pofatygował.

- Lepiej powiedz, jak się czujesz.

- Paskudnie. Lekarze nie lubią samobójców. Okropnie

ich traktują. Pewnie dlatego, żeby nie wazyli się więcej zwracać im głowy.

W porównaniu z Simone Marie wyglądała jak tłuściocha. Siostra Justina była bledsza niż zwykle i stanowczo za chuda. Samanta podała jej bombonierkę i dużą kiść winogron.

- Czekoladki, winogrona, kwiaty... - Simone się rozpląkała. - Jesteś taka miła, taka normalna. Chciałabym, żebyśmy byli podobni do ciebie.

- Justin powinien dzisiaj wrócić.

- Jak go znam, to będzie mnie przeklinał. Nawet nie wiem, po co polecał do Europy.

- Na jakąś konferencję. To nic ważnego - pocieszyła ją Samanta. - Referat wygłosił w Wenecji.

- Rozmawiałaś z Veroniką?

- Nie - skłamała Samanta. - Nie udało mi się do niej dodzwonić.

- Pewnie ci o mnie wiele złego nagadała. - Simone nie dała się nabrać. Uśmiechnęła się smutno. - Myśli, że chciałam zwrócić na siebie uwagę. Na pewno nie przyjdzie do szpitala. Zawsze powtarza, że nie należy nagradzać negatywnych zachowań. Dziadkowie też tak uważają.

- Nie rozumieją cię - westchnęła Samanta. Cóż innego mogła powiedzieć?

- Sam, czy ty się zaręczyłaś z Justinem.

- Tak. Nie chcieliśmy nikomu o tym mówić, dopóki pierścioneł nie będzie gotów.

- Mam nadzieję, że nie zostaniesz żoną Justina. Jesteś zbyt naturalna i szczerza dla mojego brata. Dobrze się zastanów, zanim się zdecydujesz. Bardzo cię lubię, ale ja i tak długo nie pożyję. - Simone powiedziała to tak obojętnie, że Samancie dreszcz przeszedł po plecach. - Dlatego mogę z tobą szczerze rozmawiać. Dobrze ci radzę, nie wchodź do

naszej rodziny. Wyssą z ciebie całą krew, aż staniesz się taka sama jak Veronika. Ja nie mam w żyłach ani kropli krwi. Nie pozwól, żeby to samo zrobili z tobą.

Justin spotkał się z Samantą w szpitalu. Przyjechał prosto z lotniska.

- Co ona wyprawia? - zawołał, kiedy wpadł na Samantę przed drzwiami pokoju Simone.

- To chyba oczywiste.

- Myślisz, że chciała się zabić? Bzdura! Chciała nas tylko postraszyć.

- Kto ci to powiedział?

- Nikt mi nie musiał mówić. Przez całe życie usiłuje zwrócić na siebie uwagę.

- Ale nikt nigdy nie zwracał na nią uwagi, chociaż tak bardzo o to prosiła - dokończyła Samanta. Zawsze ją irytowało, jak McCourtowie traktowali Simone.

- Nie bądź śmieszna! - Justin nic nie rozumiał. - Poświęcaliśmy jej tyle uwagi, ile należało. To takie dziecinne, takie głupie... Miałem nie przyjeżdżać, ale...

- Ale myślałeś, że Simone udało się zabić i że będziesz się musiał zająć pogrzebem!

- Co ty wygadujesz? - obruszył się Justin.

- Tym razem nie udawała. Wzięła końską dawkę leków. Wiesz, dlaczego przeżyła? Jej koleżance ukradziono torebkę, w której były klucze od mieszkania. Bała się wrócić do domu, więc przysłała do Simone. Chciała u niej przenocować.

- Veronika nic mi o tym nie mówiła. - Justin był wyraźnie zbity z tropu. Szybko jednak ochłonał. - Wiesz, że ona już raz próbowała popełnić samobójstwo. Wtedy zrobiła wszystko, żebyśmy w porę ją znaleźli.

To słowa Veroniki, pomyślała Samanta. Justin jest zbyt

wrażliwy, żeby mógł coś takiego wymyślić. Przestraszył się. Za nic w świecie nie chce dopuścić do siebie myśli, że mógłby stracić siostrę.

- Im częściej się próbuje popełnić samobójstwo, tym większe szanse na powodzenie - powiedziała Samanta. - Jeśli zaczniesz na nią teraz krzyczeć, musisz się liczyć z konsekwencjami.

- Dobrze, kochanie. - Justin pocałował ją. - Obiecuję, że że będę na nią krzyczał.

- Ben?

- Cześć, Sam - pozdrowił ją.

W jego głosie było tyle pewności siebie, że Samanta od razu uwierzyła, że wszystko dobrze się ułoży.

- Ben, coś się stało.

- Poznałem to po twoim głosie. O co chodzi?

- Siostra Justina usiłowała popełnić samobójstwo. On zaś próbował się do mnie dodzwonić z Berlina, ale nie zastał mnie w domu. Dziś mnie zapytał, gdzie byłam całą noc. Powiedziałam... Nie byłabym w stanie wytłumaczyć mu całej tej historii, więc...

A więc skłamała. Sama się zdziwiła, że kłamstwo wyfrunęło z jej ust lekko jak ptaszek. Wytłumaczyła sobie, że robi to tylko dlatego, żeby nie denerwować Justina, który i tak ma dość zmartwień z powodu Simone. Nigdy przedtem go nie okłamała, ale tym razem nie miała innego wyjścia.

- Co mu powiedziałaś? Że jestem twoją szkolną koleżanką której nie zna?

- Powiedziałam, że zostałam na noc u twoich rodziców, bo trochę wypłam i nie mogłam prowadzić samochodu - odparła szybko. Wstydziła się kłamstwa.

- Znacznie lepiej, niż przypuszczałem. - Ben się roześmiał.

- Nie kpij ze mnie! Naprawdę nie chciałam go oszukać. Nigdy tego nie robiłam.

- Przecież nic się nie stało. Spałam w pracowni. Zapomniałaś?

- Chciałam mu wszystko wytłumaczyć, ale w końcu doszłam do wniosku, że pewnych spraw się nie da wyjaśnić.

- Pewnie, że nie - zgodził się Ben.

- Ben... Gdyby było trzeba... Gdyby do tego doszło... Czy mógłbyś skłamać?

- Jasne.

- Naprawdę? - Samanta odetchnęła z ulgą.

- Nie możesz stracić bogatego narzeczonego tylko dlatego, że moja mama ma obsesję na punkcie biuściastych blondynek. Nie wiem tylko, jakim cudem miałyby dojść do mojego spotkania z Justinem.

- Widzisz, Justin nie wiedział, że się znamy. Teraz jednak już wie i koniecznie chce cię poznać. Dziwnie by wyglądało, gdybym się nie zgodziła was sobie przedstawić. Czy mógłbyś przyjść do mnie na obiad? Będzie Justin...

- To może lepiej przyprowadź go w niedzielę do mojej mamy.

- Kpisz, czy o drogę pytasz? Jak wytłumaczymy to wszystko twojej rodzinie? Przecież oni uważają że jestem twoją dziewczyną.

- No, tak - przypomniał sobie Ben. - Wobec tego przyjdę.

- Może być w przyszły czwartek?

- Może.

- Jest pewien problem... Dałam Justinowi do zrozumienia, że znam się z twoją rodziną od bardzo dawna.

- Będę udawał, że pamiętam, jak wyrznął ci się pierwszy ząb. Mam przyprowadzić ze sobą jakąś panienkę?

- Naprawdę mógłbyś? - ucieszyła się Samanta

- Bez problemu. Do zobaczenia w czwartek.

- Bardzo mi miło cię poznać - powiedział Justin do Bena. Mówił szczerze. - Jestem pełen podziwu dla twoich prac. Nie miałem pojęcia, że przyjaźnisz się z Sam.

- Od dawna - odparł Ben i pocałował Samantę w policzek. Była mu za to bardzo wdzięczna.

- Gdzie masz pierścionek? - zapytał. - Obiecałaś, że mi go pokażesz.

- Powiedziała ci? - zdziwił się Justin. - Postanowiliśmy poczekać z tym do urodzin Sam. Moi rodzice wydają z tej okazji małe przyjęcie. Wręczę jej pierścionek i oficjalnie ogłosimy nasze zaręczyny.

Rodzice Justina bardzo się ucieszyli, kiedy powiedział im o swoich planach. Veronika gratulowała im tak gwałtownie, z takim pośpiechem, że Samanta zaczęła się zastanawiać, czy aby nie dowiedziała się o decyzji Justina później niż jego matka.

- Jasne. - Ben spojrzał na Justina. Uśmiechnął się po swojemu. - A więc nie jesteście jeszcze oficjalnie zaręczeni?

- Oczywiście, że jesteśmy - sprzeciwiła się Samanta

- W pewnym sensie masz rację - powiedział w tym samym momencie Justin.

Samantę bardzo to jego oświadczenie zdziwiło, ale Justin nawet tego nie zauważył.

- Kiedy obchodzisz urodziny, Sam? - zapytał Ben. - Chciałbym wiedzieć, ile mam jeszcze czasu.

- Nie wygłupiaj się - skarciła go Samanta - Dobrze

wiesz, kiedy są moje urodziny. Za dwa tygodnie. Musiałbyś się bardzo spieszyć.

- Mam fory. Znam cię znacznie dłużej niż Justin.

- Mogłeś próbować ją usidlić, zanim mnie poznała - powiedział nonszalancko Justin.

Przeszli do pokoju i Justin nalał szampana do kieliszków. Dziewczyna, którą Ben ze sobą przyprowadził, nosiła imię Deirdre i do złudzenia przypominała lalkę Barbie. Miała bujne jasne włosy i imponujący biust. Ben zauważył, że Samanta przygląda się jej w osłupieniu. Zrobił taką minę, że musiała zagryźć wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Gdzie ty je wynajdujesz? - zapytała szeptem.

- O co ci chodzi, kochanie? - zapytał Justin, podając Deirdre kieliszek.

- O nic. - Samanta zakasłała. - Coś mi wpadło do gardła. Ben stał za plecami Justina. Pokręcił głową.

- Spotkaliśmy się już kiedyś - powiedziała Deirdre do Justina. - Chociaż nie sądzę, żebyś mnie zapamiętał.

- Naprawdę? - Justin uśmiechnął się. Uwielbiał, kiedy go adorowano. Zwłaszcza gdy robiły to kobiety. - Uczęszczałaś na moje zajęcia?

- Nie. Chodziłam do jednej klasy z Simone. Bywałam u was w domu. - Deirdre uśmiechnęła się. - Okropnie się w tobie kochałam. Wszystkie się w tobie kochałyśmy, ale ty nie zwracałeś na nas uwagi. Na mnie też nie.

- Byłem ślepy - odparł Justin z galanterią.

- Raczej nie. Miałam straszny trądzik - przyznała Deirdre. - I byłam gruba.

Teraz była szczupła, a po trądziku nie został nawet ślad. Miłość do Justina też już jej przeszła.

- W życiu bym nie zgadła, że miałaś kiedyś kłopoty z cerą i tuszą. - Samanta uśmiechnęła się uroczo.

Justin spojrział na Samantę. Deirdre była czarująca, za to Samanta miała klasę. Musiał to sobie często przypominać. Veronika zawsze mu powtarzała, że na żonę powinien sobie wybrać kobietę z klasą. Twierdziła, że klasa to cecha stała i że nie warto żenić się z kobietą, która nadaje się jedynie na kochankę.

- Ty też jesteś piękna, kochanie - powiedział Justin takim tonem, jakby ją pocieszał.

Czy jemu się wydaje, że jestem zazdrosna o Deirdre? pomyślała zirytowana Samanta.

Zaprosiła wszystkich do stołu. Nie miała jadalni, więc podała obiad w kuchni. Nakryła stół kraciatą serwetą, na środku postawiła świecę wetkniętą w butelkę. Nastrój włoskiej knajpki doskonale pasował do spaghetti, które miało być głównym daniem.

Od razu się zorientowała, że Justin nie jest z niej zadowolony. Wolałby bardziej elegancki styl podejmowania gości. Chciał zaimponować Benowi Harrisowi. Samanta nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że popełniła taki zasadniczy błąd.

- Nie bardzo mi to przypomina Włochy - skarcił ją Justin.  
- Zapomniałaś, że dopiero co wróciłem z tego kraju?

To było zupełnie nie w jego stylu. Nigdy przedtem nie poniżał jej w obecności obcych ludzi.

- Nie mam pretensji do oryginalności - broniła się Samanta. - Chciałam, żebyśmy się tu czuli jak we włoskiej knajpce w Toronto.

- A, to zupełnie inna para kaloszy - mruknął Justin.

- Mnie się tu podoba - powiedziała Deirdre. - Jestem głodna jak wilk.

Samanta uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością. Już wiedziała, co Ben widział w tej dziewczynie. Oczywiście poza tym, co wszyscy widzieli.



Ben czuł się u niej jak w domu. Albo wszędzie czuł się jak u siebie, albo Samanta podświadomie wybrała wystrój, który najbardziej lubił. Odpowiadał jej wyobrażeniom o intelektualistach z lat trzydziestych, gotowych całą noc przesiedzieć nad szklaneczką taniego wina, dyskutując o sprawach najważniejszych, a rano iść na hiszpańską wojnę.

- Sądziłem, że pojechałeś do Niemiec - powiedział Ben, po raz kolejny dając dowód tego, jak dużo wie o życiu Samanty. Zaczęła się nawet obawiać, żeby nie przeszarżował.

- Byłem tam tylko przejazdem. Wygłaszałem referat w Wenecji, a do Niemiec pojechałem na następną konferencję. Niestety, nie mogłem zostać.

- Jak się ma twoja siostra? - zapytał Ben.

- O tym też słyszałeś? - Justin spojrział na Samantę tak, jakby miał jej za złe, że zdradza rodzinne tajemnice.

- Samanta powiedziała, że twoja siostra zachorowała, kiedy ona spędzała noc u moich rodziców.

- Simone? - zapytała Deirdre. - Co się stało? Boże! Od lat się nie widziałyśmy.

- Nic jej nie jest - zapewnił ją Justin. - Simone zawsze ma jakieś problemy.

Samanta rozumiała, że Justin mówi tak dlatego, bo nie chce, aby ktokolwiek się dowiedział, że jego siostra usiłowała popełnić samobójstwo. Wolałaby jednak, żeby nie mówił o Simone tak obojętnie.

W dodatku jeszcze ten Ben. Przyglądał się Justinowi w taki sposób, że Samancie zrobiło się nieswojo. Zaraz jednak sytuacja się unormowała, więc skierował rozmowę na jakiś inny temat.

Zabrali się do jedzenia. Ben jadł palcami. Patrzył przy tym na Justina tak, jakby go prowokował i wiedział, że Justin tępi zwyczaj jedzenia palcami, któremu Samanta gorąco hołdo-

wała. W ogóle zachowywał się prowokacyjnie. Jakby chciał zmusić Justina do odsłonięcia prawdziwego oblicza. Nie tego, które Justin ukazywał ludziom na co dzień, jakie chciał, aby widziano. Innego. To był ktoś znacznie mniej atrakcyjny od zwykłego Justina, o wiele bardziej podobny do Veroniki.

- Wiem od Samanty, że masz rzeźbę mojego ojca. Ciekaw jestem, jak ci się z nią mieszka - powiedział Ben.

- Twojego ojca? - zdziwił się Justin. - Nie. Jediną rzeczą godną zainteresowania w moim mieszkaniu jest rzeźba Michaela Welsha. Moja matka bardzo ją lubi. To dzieło wielkiego talentu, choć oczywiście nie jest łatwa w odbiorze. - Z przyganą spojrzął na Samantę. - Doprawdy, kochanie, nie powinnaś już popełniać takich błędów.

Samanta pomyślała, że nie chciałyby oglądać zrobionego przez Bena zdjęcia Justina.

- Michael Welsh jest ojcem Bena - wyjaśniła cicho. Wiedziała, że Ben nie poruszyłby tego tematu, gdyby nie chciał, żeby o nim mówiono.

Justin oniemiał. Samanta nie mogła zrozumieć, dlaczego. Był przecież człowiekiem światowym i ta wiadomość nie mogła go zaszokować.

- Naprawdę? - zawołał. - Michael Welsh jest twoim ojcem? To dlaczego nazywasz się Harris?

- Moi rodzice nigdy nie byli małżeństwem - odparł Ben. - Zostałem adoptowany przez męża mojej mamy.

- To niesamowite! Veronika uwielbia jego prace! Koniecznie musisz mu o tym powiedzieć. - Justin mówił to takim tonem, jakby wszyscy artyści świata zabiegali o uznanie Veroniki Taggart. Tylko Samanta wiedziała, że tak nie myślał.

- Nie zawsze może kupić to, co by chciała, ale na szczęście udało jej się zdobyć „Głód” do mojego salonu.

Justin był taki dumny, jakby sam wybierał tę rzeźbę. Sa-

manta coraz bardziej się niepokoiła. Jej narzeczony zachowywał się tak, jakby nie wiedział, że Ben potrafi go przejrzeć na wylot.

- Zabierasz „Głód” do domu Romanowów? - zapytał Ben.

Samanta nie mogła uwierzyć, że aż tyle opowiedziała Benowi o Justinie.

Justin uniósł brwi. Ale widocznie chciał zrobić wrażenie na Benie. Albo na Deirdre. A może na obojgu?

- Niewykłuczone - powiedział. - To oczywiście zależy od wystroju. Takiej rzeźby nie można postawić byle gdzie.

- Jasne - zgodził się Ben.

- Moja matka nie widziała tego mieszkania. Poza tym ono jeszcze nie jest moje. Prawda, kochanie? - zwrócił się do Samanty. - Niepotrzebnie mówisz o takich sprawach przed czasem.

- Przyjaźnimy się z Samantą od lat. Ona o wszystkim mi opowiada.

Samanta zdołała wreszcie przesłać mu ostrzegawcze spojrzenie. Na próżno. Ben udał, że niczego nie zauważył.

- Złożyłem ofertę. Oczywiście zaproponowałem znacznie niższą cenę niż cena wywoławcza. - Oświadczenie Justina było pompatyczne. Jak cały Justin. Zupełnie nie był sobą. Jakby chciał wszystkich obecnych przytłoczyć swoją wysoką pozycją społeczną. - Nie przyjęto jej. Ale ja potrafię być ciepły. Jak złożę następną, na pewno się zgodzą.

- Rozumiem, że nie bardzo ci zależy na tym mieszkaniu. - Tym razem Ben spojrzał na Samantę. Jego oczy mówiły: „zaraz się przekonasz, z kim masz do czynienia”.

- Nie, tego bym nie powiedział - tokował Justin. - To bardzo piękne mieszkanie. I w dobrym punkcie. Bardzo nam się podobało, prawda, kochanie? Szefowie agencji udają, że

mają wielu kupców, ale pośredniczka, która nam je pokazywała, jest wyraźnie po mojej stronie. Obiecała mnie zawiadomić, jeśli wpłynie inna oferta. Pozostali współwłaściciele też mają w tej sprawie coś do powiedzenia. Na pewno by woleli, żeby mieszkanie kupił Kanadyjczyk, a nie kolejny arabski ambasador.

Wprawdzie powiedział „Kanadyjczyk”, ale z pewnością chciał powiedzieć „McCourt”. Samanta spuściła głowę.

- Jesteś bardziej odważny od mnie - przyznał Ben. - Ja bym nie ryzykował utraty czegoś, co mi się podoba. Bałbym się, że mogę to na zawsze stracić.

Oczy obu mężczyzn spotkały się na chwilę. Ben zawarł w tym spojrzeniu ostrzeżenie, ale Justin wolał udać, że niczego nie rozumie. A może naprawdę nie zrozumiał?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Trochę się spóźnię - powiedziała Samanta do słuchawki domofonu. - Zaczekasz, czy mam przyjechać sama?

- Zaczekam - odparł Ben. - Mogę wejść na górę?

- Jasne - odparła po chwili wahania.

Nie wiedziała, dlaczego się zawahała. Nie była jeszcze gotowa do wyjścia, ale to przecież w niczym nie przeszkadzało. Zarzuciła szlafrok na bieliznę i poszła otworzyć drzwi.

- Cześć! - Ben ją pocałował.

Tym razem nie w policzek, lecz w usta, ale był to zwykły, pozbawiony emocji pocałunek. Samanta uznała, że po czwartkowym wieczorze są ze sobą tak zaprzyjaźnieni, że może mu na to pozwolić.

- Jak się miewasz?

- Dziękuję, dobrze. - Uśmiechnęła się do niego. - Zrobiłeś wielkie wrażenie na Justinie.

- Mam nadzieję.

Samanta myślała, że z niej kpi, ale Ben powiedział to tak obojętnie, jakby rzeczywiście mu na tym zależało.

- Naprawdę bardzo ci jestem wdzięczna. Ale odłóżmy tę rozmowę na później. Oczywiście, jeśli nie chcesz, żeby twoja mama czekała na nas z obiadem.

Biegając między pokojem a łazienką, zauważyła, że Ben zabrał się do rozwiązywania krzyżówki, którą Samanta rano zaczęła.

- Czy jest w tym domu coś do pisania? - zapytał. Obok

wazonika na kuchennym stole leżała już spora sterta wypisanych długopisów.

- Poszukaj na biurku! - zawołała. - Koło telefonu.

- Po co te trzymasz? - zapytał, wskazując nieprzydatne do niczego długopisy.

- Nigdy nie mam dość siły, żeby je wyrzucić - roześmiała się.

- Rozumiem. To rzeczywiście ciężka praca. Pozwól, że cię wyręcę.

Ben stanął w drzwiach jej sypialni. Trzymał w garści bezużyteczne długopisy.

- Spójrz na nie po raz ostatni - zaproponował.

- Chcesz je wyrzucić?

- Do Muzeum Narodowego ich nie zaniosę.

- Nie rozśmieszaj mnie, bo krzywo się umaluję.

Wrócił do kuchni. Samanta usłyszała, jak długopisy wpadają do kosza na śmieci.

- Wielkie dzięki - powiedziała. - Zdjąłeś mi kamień z serca. Nie miałam sumienia ich wyrzucić.

- Zawsze do usług. - Ben znalazł przy komputerze jakiś działający długopis i wrócił do rozwiązywania krzyżówki. - Dlaczego jeszcze nie jesteś gotowa? Zasnęłaś w wannie czy co?

- Wpadła do mnie Simone. Siostra Justina. Musiała z kimś pogadać. Już myślałam, że nigdy nie wyjdzie, ale na szczęście była umówiona z twoją przyjaciółką. Z Deirdre.

- Deirdre wspominała, że chce do niej zadzwonić.

- Wydaje mi się, że Simone właśnie kogoś takiego potrzebuje. Deirdre jest bardzo sympatyczna.

- To fakt.

- Dlaczego się z nią nie ożeniłeś?

- Doszliśmy do wniosku, że nie pasujemy do siebie - odparł Ben tak poważnie, że Samanta wybuchnęła śmiechem.

Włożyła sukienkę. Zamek nie chciał się zapiąć.

- Mógłbyś mi pomóc? - zapytała, wchodząc do kuchni. Ben był zajęty rozwiązywaniem krzyżówki. - Suwak mi się zaciął.

Odłożył gazetę, wstał i podszedł do Samanty. Uniosła włosy do góry, żeby Ben miał swobodny dostęp do nieszczęsnego suwaka.

- Włosy się wplątały - powiedział.

Samanta poczuła na karku dotyk jego dłoni. Zamknęła oczy. Była bardzo podniecona. Omal nie jęczała, kiedy Ben mocował się z zamkiem i z jej włosami. Na szczęście nie trwało to długo.

- Dzie... - zaczęła, ale nie dokończyła. Usta Bena dotknęły jej szyi. Znow zamknęła oczy.

- Ben - szepnęła. - Przestań.

Nie rozumiała, jak mogła tak się zapomnieć. Dopiero co przekomarzała się z nim jak z bratem, a tymczasem wystarczyła chwila, żeby wszystko się zmieniło.

- Sam - westchnął jak człowiek, który znalazł wodę na pustyni. Jedną ręką przytrzymywał włosy Samanty, drugą położył najej ramieniu.

Stali nieruchomo jak posągi. Owładnięci żądzą, zadziwieni, słuchający rytmu swoich serc.

- Ben - wyjąkała Samanta. - Jestem zaręczona.

- Nie! - zaprzeczył gwałtownie. - Jeszcze nie.

Odwrócił ją twarzą do siebie. Odgarnął opadający na czoło kosmyk włosów. Trzymał ją mocno, a jego czarne oczy prześwieślały Samantę na wylot.

- Jeszcze nie - powtórzył.

Nie mogę sobie na to pozwolić! Samanta rozpaczliwie broniła się przed własną słabością. Jestem zaręczona! Mam zostać żoną Justina! Jeśli teraz ulegnę, to co będzie potem?

Zebrała wszystkie siły. Zdażyła odwrócić głowę, zanim Ben ją pocałował.

Znów stali nieruchomo, blisko siebie. Samanta z odwróconą głową, Ben z ustami wtulonymi w jej włosy.

Po chwili ją puścił. Nie mówiąc do siebie ani słowa, wyszli z domu.

Ostatnimi czasy Harrisowie rozmawiali wyłącznie o zbliżającej się Gwiazdce.

- Na Boże Narodzenie zawsze wyjeżdżamy nad jezioro - opowiadała Samancie Miranda. - Odkąd Matt się urodził. Ben miał wtedy trzy lata. Bardzo chciał mieć śnieg na Gwiazdkę. Baliśmy się, że w Toronto nie będzie śniegu, więc pojechaliśmy nad jezioro. No i tak już zostało.

- W piątek, po piętnastym grudnia, ubieramy choinkę - upewniał się Luke. Miranda potwierdziła i Luke zapisał sobie uzgodniony termin w notesie. - Rebeka na pewno do tego czasu już będzie na świecie. - Spojrzał błagalnie na żonę. - Pogadaj z nią, dobrze?

- Spokojna głowa - powiedziała Carol. - Wszystko w swoim czasie.

- Ben, będziesz mógł przyjechać? - zapytała Ella.

- Raczej tak.

- Weź ciepłe ubrania, Sam. Chodzimy na długie spacery. Łyżwy też możesz zabrać.

Awiecz traktowali ją jak swoją. Samanta była zrozpaczona. Co jak co, ale te święta musiała spędzić z McCourtami. Oczekiwali tego od niej.

- Przykro mi, ale nie będę mogła przyjechać do was na Boże Narodzenie - powiedziała.

Cała rodzina na wyścigi zaczęła protestować.

- Czy Ezra przyjeżdża na święta?



- Chyba tak, ale...

- A więc możecie razem przyjechać nad jezioro. Będzie nam bardzo miło. Miejsce też się znajdzie, nawet jeśli Rebeka już się urodzi. Zobaczysz, będzie fajnie.

- Nie mogę. Naprawdę nie mogę. - Samanta kręciła głową. - Bardzo bym chciała, ale...

Ugryzła się w język. Przerażona pomyślała, że mało brakowało, a rozpłakałaby się jak mała dziewczynka.

Zerknęła na Bena. Miała nadzieję, że pomoże jej wybrnąć z trudnej sytuacji, ale on milczał. Tylko na nią patrzył.

Muszę z tym wreszcie skończyć, uznała. Oni dlatego traktują mnie jak członka rodziny, bo myślą, że jestem z Benem. Muszę im powiedzieć o zaręczynach z Justinem. Niech wreszcie przestaną sobie roić głupstwa. Ja też muszę przestać. Mogę nadal się z nimi przyjaźnić. Jeśli tego zechcą. Ale niech wreszcie przestaną mnie uważać za narzeczoną Bena.

Niestety, nie mogła się zdobyć na to, żeby im powiedzieć prawdę. Nie teraz.

- Przyjeźdź przynajmniej na ubieranie choinki - zaproponował Luke. - Wtedy jest prawie tak samo fajnie jak w Boże Narodzenie.

- Jasne! Przyjeźdź!

Samanta znów spojrzała na Bena. Nie wiedziała, dlaczego nie chciał jej pomóc.

- Ben, chyba musisz z nią poważnie porozmawiać - wtrącił się Artur.

Wszyscy zamilkli, czekając, co też Ben będzie miał do powiedzenia.

- Oczywiście że Samanta przyjedzie - oświadczył Ben.

- Nie możemy wiecznie okłamywać twojej rodziny -

oświadczyła Samanta, gdy Ben jak zwykle odwoził ją do domu. - To nieuczciwe.

- Nie rozmawiajmy o tym teraz.

- A kiedy masz zamiar o tym porozmawiać? Wkrótce będą moje urodziny. Muszę z tym skończyć. Czuję się jak oszustka.

- W każdej chwili możesz się wycofać.

- Co im powiemy? - Samanta udała, że nie rozumie, co Ben miał na myśli.

- Robisz z igły widły. Przeszkadza ci to, że moja rodzina cię polubiła? Nie powiedziałem im, że mamy zamiar się pobrać, a oni za dobrze mnie znają, żeby tego oczekiwać.

To prawda, pomyślała Samanta. Mnóstwo kobiet przewinęło się przez ten dom.

- Wszystkie twoje dziewczyny tak traktowali? - zapytała.

- Nie aż tak serdecznie - odparł po chwili namysłu. - Lubią cię. Co w tym złego?

- Naprawdę wiedzą, że... Że między nami nie ma niczego poważnego? Nie traktują mnie tak dlatego, bo myślą..

- Nic nie myślą - przerwał jej Ben. - Lubią cię i cenią sobie twoje towarzystwo. I ty chyba też ich lubisz. Chociaż w tej sprawie mogą się mylić. Bo może ja cię źle rozumiem. Może masz już dość tych hałaśliwych rodzinnych spotkań. Pewnie wolisz dyskretny artystyczny urok domu McCourtów?

- Zwariowałeś! - oburzyła się Samanta. - Nic podobnego nie powiedziałam! Mnie się tylko wydaje, że oni... No bo dlaczego chcą mnie zaprosić na święta? I Ezrę też?

- A dlaczego mieliby was nie zapraszać?

- Uważasz, że twoja mama nie zechce cię nakłaniać do ożenku ze mną?

- Moja mama nakłania mnie do ożenku z każdą kobietą,

jaka się przy mnie pojawi - roześmiał się Ben. - Ale to nie ma żadnego znaczenia. Myślałem, że o tym wiesz.

Samanta westchnęła. Czuła, że to nie jest cała prawda, że Ben czegoś jej nie powiedział.

Jednak jeśli rzeczywiście Harrisowie lubili ją dla niej samej, a nie dlatego, że mieli nadzieję zrobić z niej synową i bratową, to nie było sensu zastanawiać się nad tym teraz. Zwłaszcza że to Boże Narodzenie mogło być dla Samanty ostatnią okazją odwiedzenia ich gościnnego domu.

- Boisz, że znów cię pocałuję? - Ben opacznie zrozumiał jej milczenie. - Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że to jak najbardziej naturalny odruch. Mimo to obiecuję, że postaram się więcej tego nie robić. Zresztą i tak jutro wyjeżdżam, więc...

- Dokąd jedziesz? - przestraszyła się Samanta.

- Do Europy.

- Na wojnę? - wyszeptała.

Tak na nią spojrzął tymi swoimi czarnymi oczami, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Na pole bitwy. Ale tam wojna już dawno się skończyła - uspokoił ją. - Będziemy kręcić zdjęcia do serialu.

Samanta przypomniała sobie, że mówił jej o jakimś serialu poświęconym historii wojen. Odetchnęła z ulgą. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo się bała o Bena.

- Nie wiem, jak twoja matka to wytrzyma - szepnęła.

- Sam... - zaczął Ben, ale nie dokończył zdania. Jakby nagle się rozmyślił.

Skoncentrował się wyłącznie na prowadzeniu samochodu. Odezwał się dopiero wówczas, kiedy podjechał pod jej dom.

- Moja rodzina oczekuje cię w przyszłą niedzielę - powiedział. - Niezależnie od tego, czy będę, czy nie, pojedź do nich. Bardzo cię o to proszę.

\_\_\_Naprawdę uważasz, że powinnam ich odwiedzić?

\_ Spójrz na to z innej strony. Jeśli oni rzeczywiście mają nadzieję, że zostaniesz moją żoną, to wybrałaś sobie najgorszy moment, żeby ich wyprowadzać z błędu. Chcesz im zepsuć Boże Narodzenie? Pojedź przynajmniej na ubieranie choinki. Zepsułabyś im całą radość, gdybyś nie przyjechała. I tak trudno im wytłumaczyć, dlaczego nie spędzisz z nami świąt. Oczywiście jeśli nie mamy zamiaru im powiedzieć, że jesteś zaręczona z kimś innym. Zostaw wszystko tak, jak jest. Tylko do świąt, dobrze?

Nie potrafiła mu odmówić. Zresztą Ben miał rację. Tych kilka tygodni i tak przecież niczego nie mogło zmienić.

- Dobrze - zgodziła się. Czuła się jak skazaniec, któremu odroczone wykonanie kary śmierci.

Tak bardzo chciała ubierać z nimi choinkę. Jej bardziej zależało na byciu z rodziną Bena, niż rodzinie Bena na niej.

Poczuła się szczęśliwa. Wołała nie zastanawiać się nad przyczyną swej szalonej radości.

Tego roku urodziny Samanty wypadły w sobotę. Jubilatka obudziła się w fatalnym nastroju. Okazało się, że akurat zaczął się jej okres.

Rozpłakała się ze złości. Pierwszy dzień zawsze był nieprzyjemny, ale ten zapowiadał się wyjątkowo paskudnie. A przecież wieczorem McCourtowie wydawali dla niej przyjęcie urodzinowo-zaręczynowe.

Samanta wołałaby mieć już pierścionek od Justina na palcu, nie czuć się, jakby coś jeszcze miało się zdarzyć. Chciała mieć pewność, że klamka wreszcie zapadła. Ale Justin uparł się, żeby oficjalnie ogłosić ich zaręczyny i publicznie wręczyć jej pierścionek.

W skrzynce na listy znalazła trzy kartki z życzeniami.

Wszystkie od Harrisów. Położyła je obok tych, które przysły w ciągu tygodnia. Żadna z nich nie była od Bena.

Ubierała się starannie. Musiała poświęcić więcej czasu na makijaż. Postanowiła włożyć czerwoną suknię. Nie była to bardzo elegancka kreacja, ale przynajmniej dzięki niej blade policzki Samanty wydawały się lekko zaróżowione. Justin na pewno by wolał, żeby włożyła czarną wąską suknię na ramionkach, ale Samanta nie miała siły dziś nosić tej sukni z godnością.

- A niech to! - złościła się, bezskutecznie usiłując upiąć włosy w kok.

Co za koszmarny dzień, pomyślała. Jak ja zdołam przetrwać to przekłete przyjęcie, skoro moje własne włosy doprowadzają mnie do rozpacz.

Nie wiedzieć czemu właśnie teraz przypomniały jej się słowa Bena o ludziach, którzy mimo bombardowań i nieludzkich warunków rozjaśniali się jak zapalone lampy, kiedy postanawiali się pobrać. Zaraz jednak pomyślała sobie, że kiedy człowiekowi lecą na głowę bomby, to pewnie nie przejmuje się tym, co o nim pomyślą jego przyszli teściowie, i może się rozjaśniać, ile wlezie.

Zadzwonił domofon. Samanta przeraziła się. Była pewna, że ma jeszcze co najmniej pół godziny czasu na przygotowania.

Justin mnie zabije! pomyślała.

Nie odezwała się do domofonu, tylko otworzyła drzwi.

Będzie musiał wejść na górę! Jak przyjdzie, to mu wytłumaczę, dlaczego znów się spóźniłam, pomyślała.

Pobiegła do sypialni. Na nowo podjęła bezsensowną walkę z włosami.

- Wejdz! - zawołała, kiedy zapukał. - Przepraszam, że jeszcze nie jestem gotowa. Te włosy nijak nie dają się upiąć.

- A po co je upinać? - spytał miły męski głos.

Samanta odwróciła się na pięcie. W drzwiach sypialni stał Ben.

- Ben! - zawołała. - Wróciłeś!

Świat pojaśniał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie przypominał już przedsionka piekieł. Rzuciła się Benowi na szyję. Jakby wrócił z najprawdziwszej wojny.

- Wróciłem - potwierdził.

Miał na sobie skórzaną kurtkę i biały szalik. Był zziębnięty i wyglądał jak bohater. Samanta uśmiechnęła się. Czuła się taka szczęśliwa, że znów go widzi.

- Nie powinnaś się w ten sposób uśmiechać do mężczyzny, który obiecał, że więcej cię nie pocałuje, moja śliczna - powiedział, przytulając ją do siebie.

Pocałował ją, ale nie namiętnie. To był pocałunek mężczyzny, który bardzo się cieszy, że wrócił do domu.

- Zimny jesteś - zauważyła.

- Bo jest bardzo zimno - odrzekł i popatrzył na nią uważnie. - Czy to dziś jest ten wielki wieczór?

- Dzisiaj. - Samanta odsunęła się od niego. Była zdenerwowana, choć przecież nie miała ku temu powodu. - Myślałam, że to Justin po mnie przyjechał. Która godzina?

- Dziesięć po siódmej.

- Bogu dzięki i za to! Mam jeszcze dwadzieścia minut, żeby sobie poradzić z tymi przekłętymi włosami.

- Mówiłem ci, że nie musisz z nimi nic robić - uśmiechnął się Ben.

- Justin woli, kiedy są upięte.

- Naprawdę? - zdziwił się Ben. - Dlaczego?

Samanta nie odpowiedziała. Spróbowała zapleść włosy w warkocz. Skoro kok nie dał się upiąć, Justinowi musiał wystarczyć francuski warkocz.

- Jakie to znamienne! - mruknął Ben. - Na pewno chcesz tych zaręczyn?

- A co w tym znamiennego? Znacznie lepiej wyglądam z włosami upiętymi do góry.

- Nieprawda. Wyglądasz na bardziej opanowaną, a to zupełnie co innego. Jeśli Justin już teraz bierze w karby twoje piękne włosy, to co zrobi z twoją osobowością?

Samanta się rozczłochała. A przecież przed chwilą była taka szczęśliwa, że Ben przyjechał.

- Mógłbyś już sobie pójść? Justin zaraz tu będzie, a ja jeszcze nie jestem ubrana.

- Nie chcesz zobaczyć prezentu?

- Masz dla mnie prezent? - Samanta ucieszyła się jak dziecko.

- Jasne.

- Naprawdę nie musiałeś... - odrzekła cicho. - Co to takiego?

Ben się roześmiał. Wyjął z kieszeni kurtki pudełko. Samanta pocałowała go w policzek, chwyciła pudełko i otworzyła je. Zamarła. Wewnątrz, na białej satynie, leżał najpiękniejszy klejnot, jaki kiedykolwiek miała w rękach. Naszyjnik. Surowy, barbarzyński, z litego złota. W sam raz dla królewny. Dla córki wojownika.

- Och, Ben - wyszeptała. - Jakie to piękne! Gdzieś ty go znalazł?

- To kopia celtyckiego naszyjnika.

- Nie, Ben! To zbyt drogi prezent. Jest śliczny, ale nie mogę go przyjąć.

- Wcale nie jest drogi. - Ben wyjął naszyjnik z pudełka.

- Jest tylko pozłacany. Myślałaś, że to czyste złoto?

Ależ ze mnie głuptas, pomyślała. Jasne, że to nie jest złoto.

Uśmiechnęła się do Bena w lustrze. Zebrała włosy, pochy-

liła głowę. Spojrzała w lustro dopiero wtedy, kiedy Ben włożył jej naszyjnik. Spojrzała i oniemiała. Z lustra patrzyła na nią zupełnie inna kobieta. Z rozwianymi włosami, w czerwonej sukni ze złotym naszyjnikiem wyglądała jak królewska córka - przyszła władczyni wojowniczego plemienia. Brakowało jej tylko miecza.

- Ależ to fantastyczne - szepnęła.

- Fantastyczne - powtórzył tak jakoś dziwnie Ben. Jakby zupełnie co innego chciał powiedzieć. - Powalisz ich na kolana.

- Tego nie wiem! - Samanta roześmiała się. - Ale na pewno przekonam ich, że nie jestem odpowiednią partią dla Justina. Nie mogę nałożyć tego naszyjnika.

- Dlaczego?

- Ja... Oni... Nie do towarzystwa McCourtów.

Wciąż jeszcze się uśmiechała, ale dziwnie się czuła. Jakby czegoś nie dopowiedziała albo nie zrobiła. Czegoś, co koniecznie trzeba było zrobić lub powiedzieć.

- Bo nie pasujesz do McCourtów, moja śliczna. Przecież Justin właśnie dlatego wybrał ciebie. Dlatego, że jesteś inna. Wolał cię od tysięcy kopii własnej matki.

Samanta pomyślała, że Ben może mieć rację. Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym, dlaczego tak bardzo różni się od McCourtów. Patrzyła na nich, ale nigdy ich do siebie nie przyrównywała. Dopiero ten naszyjnik uświadomił jej, że jest inna. Dzięki niemu zrozumiała, jaka jest naprawdę. Raz jeszcze spojrzała na tę obcą kobietę w lustrze.

- Czy to naprawdę ja? - zapytała.

- Nie wiem. Tylko ty znasz odpowiedź na to pytanie.

Samanta odniosła wrażenie, że Ben chce jej dać do zrozumienia coś niesłychanie ważnego, jakby, od jej odpowiedzi zależało całe jego życie.



Może rzeczywiście mam w sobie taką niesamowitą energię, pomyślała.

Zafascynowana, patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Świat wydał jej się dziwny. Jakby dotąd oglądała go w zwierciadle i dopiero teraz zobaczyła, jaki jest naprawdę. Oczy musiały się przyzwyczaić do tego nowego świata jak do światła dnia po wyjściu z mrocznej jaskini.

- Jedno wiem na pewno - powiedziała. - Jeśli naprawdę jestem taka, to dzisiaj nie jest odpowiedni dzień, żeby się do tego przyznać.

Ben nic nie mówił, tylko na nią patrzył.

- Nie będę musiała się chwalić, kim naprawdę jestem - dodała, jakby się broniła przed zarzutem, którego jej Ben nie postawił.

- Jasne - zgodził się potulnie. - Jest co najmniej milion powodów, dla których nie powinnaś się przechwalać swoim blaskiem. Ale jeśli dzisiaj nie chcesz być sobą ze strachu, musisz być przygotowana na to, że nie przeżyjesz małżeństwa z Justinem McCourtem. Wprawdzie wybrał cię dlatego, że jesteś inna, ale z pełnym oddaniem poświęci się przerabianiu cię na własną modłę.

- Po co to robisz?! - zawołała Samanta. Nie rozumiała, co ją opętało, dlaczego tak się na niego wściekła. - Co mi chcesz udowodnić? Przychodzisz dziesięć minut przed moim przyjęciem urodzinowym i wszystko psujesz!

- Nie wszystko. Może nie pamiętasz, ale kiedy przyszedłem, włosy w żaden sposób nie chciały cię słuchać. Twoje włosy. Dobrze, że przynajmniej one mają trochę rozumu.

- Uważasz, że ja go nie mam?

- Jak mógłbym powiedzieć, że nie masz rozumu, kiedy tak pięknie na mnie krzyczysz? - spytał Ben z uśmiechem.

Samanta czuła, że dzieje się z nią coś dziwnego. Nie ro-

zumiała tego, nie potrafiła wyjaśnić, co to jest, czuła tylko, że zaraz wpadnie w szal.

- A co ty możesz o tym wiedzieć?! - wrzasnęła. - Co wiesz o miłości, o małżeństwie? Umierasz ze strachu na samą myśl o żeniacze!

Ben przestał się uśmiechać. Widać było, że jest zły.

- Wiem! - Miał minę jak człowiek doprowadzony do ostateczności.

Teraz był jej wrogiem. Zanim zdążyła się poruszyć, chwycił ją i przyciągnął do siebie.

- Wiem - powtórzył.

Jego ramiona zacisnęły się wokół Samanty. Patrzył jej prosto w oczy. Serce Samanty biło jak oszalałe. Jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Po chwili uścisk zelżał. Ben pochylił się. Pocałował ją w usta.

Nie potrafiła się bronić przed ogarniającym ją pożądaniem. Zamknęła oczy. Przytuliła się do Bena i pozwoliła się całować.

Wreszcie go odepchnęła. Puścił ją natychmiast. Stali naprzeciw siebie, bez tchu.

- Nie? - zapytał Ben po chwili.

- To o niczym nie świadczy - powiedziała Samanta, z trudem chwytając powietrze. - Małżeństwo nie chroni od pokus.

- Pokusa! - Ben się roześmiał, ale był to śmiech pozbawiony radości. - A więc tak to nazywasz!

- A ty jak byś to nazwał?

- Dobrze wiesz, jak bym to nazwał, ale chyba nie chcesz, żebym to powiedział głośno. Boisz się, że ci zburzę to twoje uporządkowane, bezpieczne, byle jakie życie.

Rzeczywiście, Samanta nie chciała tego słuchać. Pewnie

Ben by jej powiedział, że namiętność jest ważniejsza niż małżeństwo, a krótki romans z nim jest wart więcej niż całe życie z Justinem. Samanta wiedziała, że to nieprawda, ale gdyby Ben jej to powiedział, mogłaby mu uwierzyć. Na kilka godzin, dni, a nawet tygodni mogłaby uwierzyć, że to, co ma jej do zaoferowania, warte jest każdej ceny. Gdyby tylko można było zapłacić za wszystko z góry...

Wiedziała, że prawdziwy rachunek przyjdzie jej płacić potem, kiedy Bena już przy niej nie będzie. Wtedy nic jej nie zostanie. Nawet byle jakie życie.

- Masz rację - odparła z kamiennym spokojem.

Ben odwrócił się i wyszedł.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

W końcu jednak Samanta włożyła czarną sukienkę. Justin uznał, że czerwona jest nieodpowiednia na takie ważne przyjęcie. Tym razem nie miał nawet nic przeciwko temu, żeby poczekać, aż Samanta upora się z niesfornymi włosami. Powiedział, że nie będzie nic złego w tym, jeśli trochę się spóźnią. Złotego naszyjnika też, oczywiście, nie włożyła. Tylko srebrne klipsy i srebrną bransoletkę, doskonale pasujące do białego złota pierścionka, który miała dostać tego wieczoru.

- Ty rzeczywiście masz w sobie coś - zauważył Justin, kiedy, gotowa do wyjścia, stanęła przed nim, żeby mu się pokazać. Pocałował ją w odsłonięte ramię, żeby nie zniszczyć starannie zrobionego makijażu.

Przez cały wieczór Samancie chciało się na przemian to płakać, to krzyżeć. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Oprócz, oczywiście, dwóch całkiem zrozumiałych powodów: po pierwsze - miała okres, a po drugie - Ben Harris okazał się wrednym idiotą.

Nikt nie zauważył podłego nastroju Samanty. Na szczęście McCourtowie nie byli zbyt spostrzegawczy. Z wyjątkiem Simone.

- Nie posłuchałaś mnie - powiedziała ze smutkiem. - Jednak wyjdiesz za niego za męża.

- Ja go kocham, Simone.

- Nigdy w to nie uwierzę. Oczarował cię, ale nie jesteś

z nim szczęśliwa. W każdym razie nie wyglądasz jak szczęśliwa narzeczona. Jak go lepiej poznasz, przekonasz się, że tego człowieka nie można kochać. Zastanawiałam się nawet, czy nie zrobić tego dzisiaj. Żeby cię uratować od tej przekłetej rodziny.

- Czego, na miłość boską?

- Pomyślałam sobie, że nawet McCourtowie nie mogliby się bawić na przyjęciu, wiedząc, że ich córka właśnie pożegnała się z tym światem.

- Cieszę się, że tego nie zrobiłaś.

- Wiem. Zawsze byłaś dla mnie taka miła. Bałam się, że jeśli zrobię to dzisiaj, będziesz sobie wyrzucała, że stało się to przez ciebie. Tego bym nie chciała. Pragnę, żebyś wiedziała, że zrobiłaś wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby mnie powstrzymać, więc nie czuj się winna, kiedy to się stanie. Możesz mi to obiecać? Nie zrozum mnie źle. Nie chcę, żeby ktokolwiek czuł się winny. Oni - wskazała głową rozmawiających z Justinem rodziców - nie będą mieli poczucia winy, ale ty pewnie tak. Aja po prostu nie chcę żyć.

Mówiła to wszystko tak spokojnie, że Samanta się przeraziła. Bardziej niż gdyby Simone płakała.

- Simone, nie zabijaj się, proszę. - Chciało jej się płakać, choć przecież był to nie tylko dzień jej urodzin, ale i zaręczyn. Jeden z najszcześniejszych dni w życiu.

- Tak, ty potrafisz to powiedzieć - westchnęła Simone.

- Mojej matce nie przyszłoby to nawet do głowy.

- Właśnie ci to mówię. Jeśli popełnisz samobójstwo, to i mnie zabijesz. Nie mogę się już doczekać, kiedy zostaniesz moją szwagierką

- Ja też bardzo bym chciała mieć taką szwagierkę. Gdyby nie to, że wtedy Justin musiałyby zostać twoim mężem. Czy nie mogłybyśmy zostać przyjaciółkami? - Simone spojrzała

na Samantę z nadzieją. Po raz pierwszy okazała jakąś emocję.

- Jeśli coś się popsuje pomiędzy tobą i Justinem... Mam nadzieję, że tak... Ale czy mimo wszystko będziesz się ze mną przyjaźnić?

- Oczywiście, Simone. - Samanta pocałowała błądy, wychudzony policzek dziewczyny.

- Obiecujesz? - Simone chwyciła ją za rękę.

- Obiecuje. Ale ty też mi przysięgnij, że nic sobie nie zrobisz.

- Naprawdę? Czy to naprawdę coś dla ciebie znaczy? - W oczach Simone zalśniła maleńka isierka. Na krótko, ale i to pozwoliło Samancie mieć nadzieję.

- To dla mnie bardzo dużo znaczy. Obiecaj. Znajdź jakieś inne rozwiązanie. Masz tyle do dania innym ludziom. Wiem, że potrafisz znaleźć sobie jakiś sposób na życie.

- Dobrze. - Simone patrzyła jej w oczy. - Obiecuje.

Dopiero znacznie później Samanta przypomniała sobie, że nie zaprotestowała, kiedy Simone powiedziała, że między nią a Justinem mogłoby się coś popsuć.

Potem ojciec Justina oznajmił, że chce coś ogłosić. Goście stanęli kołem i Justin wreszcie włożył na palec Samanty? pierścionek. Był wyraźnie zadowolony z blasku diamentu i z tego, że goście chwalili jego gust, kiedy powiedział, że sam ten pierścionek zaprojektował.

Samanta sądziła, że kiedy wreszcie będzie miała pie rścionek, poczuje się lepiej. Tymczasem klamka zapadła, a ona nadal czuła się fatalnie. Wciąż czekała. Nie wiadomo ma co.

Starła się unikać i Bena, i jego rodziny. Nie pojechała na niedzielny obiad, tłumacząc się nawałem pracy. Ale nie mogła nie pójść do szpitala, kiedy Rebeka wreszcie się urodziła.

Dziewczynka miała kręcone włoski i najbardziej niebie-

skie oczy na świecie. Samanta ze ściśniętym sercem patrzyła na Carol i jej maleńką córeczkę, kiedy do pokoju wszedł Ben.

Spróbowała się do niego uśmiechnąć, ale zaraz przypomniała sobie awanturę, jaką mu zrobiła w dniu swoich urodzin. Patrzyła na niego i czuła, że nie rozumie czegoś, co powinien już dawno pojąć. Nie wiedziała, o co chodzi.

Tylko Samanta zauważyła, w jaki sposób Ben spojrział na palec, na którym powinien się znajdować pierścionek. Dostrzegła jego zdziwienie, kiedy niczego nie zobaczył.

Chciała mu wykrzyczeć w twarz, że tylko dla niego nie włożyła swojego pierścionka. Dla niego i dla spokoju jego rodziny. Ale, oczywiście, nic nie powiedziała.

— Chcesz ją potrzymać? - zapytała Carol.

Ktoi by nie chciał! Samanta wzięła na ręce maleńkie zawiniątko. Pochyliła się nad dzieckiem.

Zerlknęła na Bena. Jego twarz była nieruchoma jak wykuta w kamieniu. Nigdy dotąd nie widziała go tak zimnym, tak obojętnym.

Miranda mówiła, że ich dom jest jednym z trzech nad tym jeziorem, że ma zielony dach i zielone okiennice. Samanta zobaczyła go z daleka. Zielony dach pokryty był śniegiem, ale izielone okiennice świeciły na białym tle jak latarnia morska.

Po przyjeździe Samanta miała zamiar zadzwonić do Harrisów z: telefonu komórkowego. Ktoś miał po nią przyjechać, ale pogoda była piękna, a dom wydawał się całkiem blisko i Samanta postanowiła pójść pieszo.

Dom stał nad samym jeziorem. Był stary, zbudowany z drewnianych bali. Z wielkiego tarasu schodziło się wprost na pomost, przy którym w lecie cumowano łódki. Teraz stały tam skutery śnieżne.

- Sam! - zawołała na jej widok Miranda. - Jak dobrze, że jesteś! Wchodź do środka. Bardzo zmarzłaś?

Samanta poczuła się tak, jakby wróciła do domu. Przywitała się z Ellą, Carol i Alice, dowiedziała się, że mężczyźni poszli do lasu po choinkę i że Sara im towarzyszy.

Pozostałe w domu kobiety przygotowywały w kuchni posiłek dla zgłodniałych wędrowców. Dwoje dzieci siedziało na wysokich krzeselkach. Fotelik z Rebeką stał na stole, skąd dziewczynka mogła widzieć wszystko, co się wokół niej dzieje.

Niedługo potem dały się słyszeć wesołe nawoływania. To wracali poszukiwacze choinki.

- Co za śliczne drzewko! - zachwycała się Miranda. - Nigdy nie widziałam takiej proporcjonalnej jodły.

- Podziękuj Sarze - powiedział z dumą Jude.

- Ostatni raz wzięliśmy ze sobą kobietę! - zaklinał się Matt. - Dawno bylibyśmy w domu, gdyby nie Sara. Obejrzelibyśmy wszystkie drzewa w promieniu pięciu kilometrów, ale jej żadne się nie podobało. Już się bałem, że zabłądzimy.

Wszyscy się roześmiali.

- Bo wybieraliście choinki, które były ładne tylko z jednej strony - powiedziała Sara.

- Brawo, Saro! Dawno już nie mieliśmy takiej wspaniałej choinki - zawołała Alice. - Co roku będziemy wysyłać z wami żeńskiego nadzorcę.

- Dobry pomysł - przy klasnęła jej Ella. - Zawsze się zaklinacie, że przynieśliście najładniejsze drzewko, jakie rosło w lesie. Już myślałam, że wszystkie tutejsze drzewa mają gałęzie tylko z jednej strony.

Mężczyźni mruzczyli coś o kobiecej złośliwości, więc Miranda zręcznie zmieniła temat.



- Sam już przyjechała - oznajmiła. - Jesteśmy w komplecie.

Samanta

musiała się przywitać z każdym z przybyłych. Wszyscy śmiali się i żartowali. Nikt nie zauważył, że Samanta nie przywitała się z Benem. Ona sama też tego nie zauważyła.

Choinkę wniesiono do domu i wstawiono do kubła z wodą. Domownicy usiedli do stołu. Kiedy zjedli lunch, słońce już zaszło. Zapalono ogień na kominku i zabrano się do dekorowania domu i choinki.

- Oj, mamó - wydziwiał Luke. - Po co tyle tej jemioły?
- Co roku jest jej tyle samo - zachnęła się Miranda.

Samanta zauważyła, że Miranda rzuciła synowi ostrzegawcze spojrzenie, ale nie zrozumiała, o co jej mogło chodzić.

- No tak, ty zawsze wszystkiego masz za dużo - zgodził się potulnie Luke.

Miranda podała ciasteczka i wino, żeby nie zgłodnieli do obiadu. A gdy przyszła już pora tego posiłku, dom wyglądał jak ilustracja ze starej książki o Bożym Narodzeniu. Żyrandole, ramy obrazów i lusterek udekorowane były gałązkami ostrokrzewu i czerwonymi kokardkami, nad każdymi drzwiami wisiała kępa jemioły, a na środku pokoju pyszniła się choinka.

Kiedy mijali się w drzwiach, obowiązkowo się całowali, bo przecież trzeba się całować pod jemiołą. Samanta zauważyła, że tylko na Benajakos nie udało jej się trafić. Może dlatego, że nadzorował pieczenie szynki na wielkim palenisku. W każdym razie Samanta była z tego stanu rzeczy bardzo zadowolona. I tak już czuła się jak oszustka, bo pierścienek zaręczynowy miała w torebce, zamiast na palcu.

Była bardzo podekscytowana. Nie bardzo wiedziała, dla-

czego. Może dlatego, że atmosfera w domu Harrisów przypominała jej Boże Narodzenie z czasów dzieciństwa. Miały to być jej jedyne święta, bo to, co ją czekało w domu McCourtów, nie miało wiele wspólnego z prawdziwą Gwiazdką. Właśnie takie święta, jakie urządzano u Harrisów, zapamiętała z szczęśliwego okresu dzieciństwa, kiedy jeszcze żyli jej rodzice. A jednak była niespokojna. Jakby czekała na coś, co nigdy się nie zdarzy, albo na kogoś, kto nigdy nie przyjdzie.

Po obiedzie Miranda z Ellą znikły w kuchni. Po chwili zgasło światło. Tylko lampki na choince i ogień na kominku oświetlały wielki pokój.

Ella i Miranda wniosły tort z płonącymi świeczkami. Wszyscy zaśpiewali „Sto lat”. Samanta rozejrzała się po zebranych. Nic nie wiedziała o żadnych urodzinach. Jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy tort postawiono przed nią.

- Wszystkiego najlepszego, Sam - powiedziała Miranda.  
- Pomyśl sobie jakieś życzenie i zdmuchnij świeczki.

Samancie serce biło tak mocno, że z trudem mogła złapać oddech.

- Ale ja... - Chciało jej się płakać. - Bardzo wam dziękuję.

- Pomyśl życzenie - przypomniała jej Ella.

Ben siedział naprzeciwko niej. Po raz pierwszy tego dnia spoglądał na Samantę. Miał taką minę, jakby chciał powiedzieć, że nie może na nią nie patrzeć. Ona także nie mogła oderwać od niego oczu. Czuła, że Ben chce jej coś powiedzieć, lecz nie umiała zrozumieć tego niemego przesłania.

- Pomyśl sobie życzenie, Sam - poprosił cicho.

Życzenie, myślała gorączkowo. Mam wymyślić życzenie. Ale jakie? Nic mi do głowy nie przychodzi.

Wreszcie przypomniała sobie zdanie z jakiejś modlitwy:

„Ty wiesz najlepiej, Panie, czego pragnie moje serce”. I to zdanie sobie pomyślała. Bóg na pewno wiedział, czego pragnęła.

Nabrała powietrza w płuca. Dmuchnęła z taką siłą, jakby od tego zależało jej życie. Dwadzieścia sześć świeczek zgasło jednocześnie.

Potem wręczono jej prezenty. Miłe drobiazgi, dowody pamięci i sympatii. Nowa kosmetyczka, flakonik perfum, książka... Od Bena dostała całe pudełko czarnych, niebieskich i czerwonych długopisów.

Roześmiała się, kiedy zobaczyła ten prezent. Przypomniała sobie tamten wieczór. A potem jeszcze jeden. I inny prezent, który wtedy dostała od Bena. Ich oczy znów się spotkały. Dopiero teraz Samanta zauważyła, że Ben patrzy na nią nie całkiem przytomnie.

Odwrociła wzrok. Rozsądek podpowiadał jej, że wygląd Bena nie powinien jej obchodzić. Jakikolwiek nieszczęście go spotkało, nie ona była temu winna i nie ona będzie go pocieszać.

- Co mają znaczyć te długopisy? - dopytywał się Matt.

- Tylko ty potrafisz coś takiego podarować, Ben! Dajesz dziewczynie na urodziny dwanaście kolorowych długopisów, a ona patrzy na ciebie, jakby dostała brylantową kolbę.

- To nasza tajemnica - oświadczył Ben. Samanta zastanawiała się, czy tylko ona usłyszała w jego głosie zdenerwowanie.

- Planowaliśmy to wszystko na niedzielę zaraz po twoich urodzinach - wyjaśniła jej potem Miranda. - Bardzo nam było przykro, że nie mogłaś przyjść, ale co się odwlecze, to nie uciecze.

- Dawno już nie miałam takich sympatycznych urodzin

- powiedziała Samanta i zaraz zakryła usta dłonią. Przypo-

mniała sobie, że dwa tygodnie temu świętowała swoje urodziny i zaręczyny na przyjęciu u McCourtów.

— Co się stało? - zapytała Miranda.

Samanta tylko pokręciła głową. Zadrżała. Chciała uciec, ale w drzwiach stał Ben. Obserwował pokój. Kiedy przechodziła obok niego, objął ją i pocałował.

Samancie zakręciło się w głowie. Pewnie od wina, którego dużo tego dnia wypiała. Musiała się chwycić Bena, żeby nie upaść.

Kiedy tylko poczuł na sobie jej dłonie, przytulił ją i pocałował tak, jak mężczyzna mógłby całować ukochaną w godzinie śmierci. Jakby ta jedna chwila miała mu wystarczyć za całe życie.

Puścił ją i wybiegł z pokoju. Samanta poczuła lodowaty powiew, a po chwili usłyszała trzaśnięcie drzwi. Schowała się w łazience.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Luke będzie dzisiaj spał na kanapie - powiedziała Miranda. Dzieci dawno już usnęły i dorośli też już zaczęli ziewać.

— Co? - krzyknął Ben tak głośno, że wszyscy się zdziwili.

— Luke będzie spał na kanapie - powtórzyła Miranda z niewinną miną. - Carol mówi, że on niespokojnie śpi. a w ich pokoju jest wąskie łóżko.

Ben był tak zdenerwowany, że nawet nie zauważył porozumiewawczych spojrzeń, jakie wymienili między sobą Luke i jego matka.

— Nie masz pojęcia, jak ten facet kopie - dodała Carol. - Jestem jeszcze obolała i w żadnym wypadku nie mogę z nim spać w jednym łóżku. Chyba nikt nie będzie z tego powodu nocował na dworze?

Samanta nie rozumiała, o co właściwie chodzi, dopóki nie zaprowadzono jej do sypialni. Okazało się, że ma ją dzielić z Benem.

— Ben... - zaczęła, kiedy drzwi sypialni zamknęły się za nimi.

— Mówiłem mamie, że będę spał na kanapie! - wybuchnął Ben. Był wściekły. - Jak ona mogła o tym zapomnieć!

— Nie ma tu jeszcze jednego łóżka? - wyszeptwała.

— Nie ma - burknął. - Chyba że jedno z nas będzie spało na dworze. Wiedziałem, że mama coś kombinuje. Przez cały dzień miała taką tajemniczą minę.

\_ Ale dlaczego?

- Udaje, że podejrzewa, iż my ze sobą sypiamy. W ten sposób postanowiła nas do tego nakłonić.

- Tak myślisz?

- Nie myślę, tylko wiem. Przepraszam cię, Sam. Miałaś rację. Należało mojej rodzinie powiedzieć prawdę.

Pokój był mały i przytulny. Ben niespokojnie chodził tam i z powrotem po niewielkim skrawku podłogi pomiędzy łóżkiem a szafą.

- Prześlpię się na dole przed kominkiem - oznajmił w końcu.

Otworzył szafę. Była pusta. Wyszedł na korytarz.

- Mamo! - zawołał. - Gdzie jest śpiwór?

- Twój śpiwór? - zapytała Miranda, jakby naprawdę nie wiedziała, o co chodzi.

- Owszem, mój śpiwór! Nie zadawaj niemądrych pytań. Zawsze był w tej szafie.

- Ale to śpiwór na lato. W zimie zamarzyłbyś w nim na kość.

- Nieważne. Daj mi go.

- Zawiozłam wszystkie śpiwory do pralni. Co roku je piorę.

- W grudniu?

- No, wiesz...

- Właśnie zaczynam wszystko rozumieć - powiedział cicho. - Czy mogłabyś się zająć własnymi sprawami i przestać układać moje życie?

Odwrócił się na pięcie. Miranda została sama. Ben nigdy w życiu nie odezwał się do niej takim tonem. Nigdy też nie był taki wściekły, taki rozdrażniony.

A więc to znacznie gorsze, niż przypuszczałam, pomyślała Miranda. A może tym razem to nie Ben się uparł, tylko Sam?

A ja myślałam... Lepiej powiem Luke'owi, że gra skończona i że może wrócić do Carol. Ale... Zaraz... Ben poszedł do swojej sypialni, którą ma dzielić z Sam. I zamknął za sobą drzwi. Więc może jeszcze nie wszystko stracone?

- Czy nie moglibyśmy spać w jednym łóżku bez... - Samanta nie dokończyła.

Ben ją do siebie przytulił. Tak mocno, że zaczęła się zastanawiać, czy chce ją udusić, czy tylko pocałować.

- Nie rozumiesz, że bardzo cię pragnę? - zapytał. - Tak bardzo, że na oczy nie widzę. Jeśli położymy się razem do tego łóżka, to prędzej czy później, niezależnie od moich intencji, stanie się to, co stać się musi. A jak się stanie... Czy zgodzisz się zrezygnować z życia, jakie sobie zaplanowałaś? Chciałbym to wiedzieć.

Samancie zrobiło się ciemno przed oczami. Nie mogła mówić. Nie potrafiła nawet oddychać. Spuściła głowę.

- Przestań, Ben - poprosiła.

Nic z tego nie rozumiała. Oczywiście, wiedziała, że Ben ją pociąga. Wiedziała to, odkąd go tylko zobaczyła. Ale to, co czuła teraz, było niesamowite. Graniczyło z obłądem.

- Nie mogę, Ben. Jestem...

- Jeśli jeszcze raz powtórzysz przy mnie to słowo, to cię uduszę.

Puścił ją i wyszedł z pokoju.

Za chwilę go zobaczyła. Stała przy oknie, a on chodził pomiędzy drzewami jak dzikie zwierzę w klatce.

Pragnie mnie, myślała Samanta. Sam mi to powiedział. A więc dlatego przez cały dzień był taki spięty. I ja też go chcę. Od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłam. Z każdym dniem coraz bardziej. Ben miał rację. Trzeba się było z nim

kochać, zanim zaręczyłam się z Justinem. Mielibyśmy to już za sobą. Teraz już nie mogę tego zrobić. Zdradziłabym narzeczonego.

Za późno zrozumiała, że skoro Justin grał na zwłokę, to ona także miała prawo przez ten czas dokładnie się zastanowić, nawet sprawdzić inne możliwości. Straciła ten czas. Bezpowrotnie.

Odeszła od okna, choć kosztowało ją to dużo wysiłku. Wzięła torebkę, wyjęła z niej pierścionek i włożyła go na palec.

- Kocham Justina - powiedziała do siebie.

A więc co mnie tak ciągnie do Bena? pomyślała. Dlaczego tak bardzo chcę, żeby tu przyszedł? Przecież nie mogę pozwolić mu się do mnie zbliżyć. Cierpię. Wiem, że tylko Ben potrafi mnie od tego cierpienia uwolnić.

Ben znał ją dobrze. Wiedział, że jeśli Samanta zdecyduje się na romans z nim, nigdy już nie wróci do Justina, do wygodnego życia, jakie jej gwarantował. Samanta też o tym wiedziała. Zdawała sobie także sprawę z tego, że jeśli zrezygnuje z Justina, nic w zamian nie dostanie. Co najwyżej kilka tygodni szalonej namiętności. Potem Ben ją zostawi. Tego bała się najbardziej. Tego jednego naprawdę się bała.

Dotknęła pierścionka. Miała nadzieję, że obroni ją przed wszystkimi pokusami tego świata, a zwłaszcza przed niechcianym pożądaniem Bena Harrisa. Nie obronił. A więc może nie kochała Justina tak bardzo, jak się jej wydawało? Nie tak bardzo, żeby wyjść za niego za mąż. No bo skoro w pierwszym tygodniu narzeczeństwa nie umie się oprzeć pokusie, to co może się zdarzyć później?

Usłyszała kroki na schodach. Drzwi się otworzyły.. Ben wrócił. Od razu zauważyła, że podjął jakąś decyzję.

Jedno spojrzenie na niego wystarczyło jej za odpowiedź



na wszystkie pytania. Nie mogła zostać żoną Justina, skoro jej serce wyrывało się do innego mężczyzny. Nie mogła przysięgać wierności swojemu narzeczonemu, wiedząc, że z pewnością jej nie dochowa.

Ben usiadł obok niej na łóżku. Wziął ją za rękę i obejrzał pierścionek. Nie wiedział, że to tylko metal i kamienie. Co z tego, że szlachetne, skoro martwe, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia?

- Sam - wyszeptał schrypniętym głosem.

To jedno słowo - jej imię - rozwiało resztę wątpliwości Samanty. Opuścił ją dręczący od wielu tygodni niepokój. Nagle podjęła decyzję. Nie zostanie żoną Justina. Nawet gdyby miała mieć Bena tylko przez tę jedną, jedyną noc.

Spuściła głowę. Wtedy Ben zdjął jej z palca pierścionek. Powoli, z namaszczeniem, jakby odprawiał jakiś bardzo ważny obrzęd.

- Nie będziesz jego żoną - powiedział.

Wziął ją w ramiona. Całował, tulił do siebie. Samanta, uszczęśliwiona, poddawała się jego pieczytom. Zanim zupełnie zanurzyła się w otchłań, zdążyła jeszcze pomyśleć, że usta Bena, jego dłonie, zostawiają na jej ciele bardziej widoczne ślady niż najdroższy pierścionek świata.

Spała, ale Ben nie mógł usnąć. Siedział w fotelu przy oknie i patrzył na nią. Myślał o tym, co się zdarzyło. To on powiedział Samancie, że nie zostanie żoną Justina. Ona tego nie potwierdziła. Dobrze, że zgodziła się z nim być. Zdawało mu się, że była z nim ciałem i duszą, ale ani słowem nie potwierdziła, że z nim zostanie.

Samancie śniło się, że bierze ślub i że jest szczęśliwa. Przeraziła się, kiedy kapłan zapytał ją, czy chce zostać żoną tego mężczyzny. Nie mogąc wyjść za małżonką Justina, pomyślała. I wtedy zobaczyła, że obok niej stoi Ben. Przytulił ją

do siebie. Teraz już wiedziała, że nigdy nikogo nie kochała tak jak jego.

\_ Kocham cię - powiedziała. Obudziła się.

Ben siedział przy oknie. W jego oczach czaiła się rozpacz. Samanta przypomniała sobie, że on nie wie tego, czego ona już się dowiedziała. Nie wie, że zostali małżeństwem.

- Chodź do mnie - poprosiła na wpuł przytomnie.

Przytulił się do niej, Wiedział, że coś miłego jej się śniło, że nie do niego wyciągała ręce, ale skorzystał z okazji. Jedynej okazji w życiu. Przynajmniej na jedną noc miał tę kobietę, która już niedługo zostanie żoną innego mężczyzny. Nic nie mógł na to poradzić, chociaż uważał, że to niesprawiedliwe. Po raz pierwszy w życiu pokochał kobietę tak bardzo, że chciał ją poślubić, a ta kobieta zostanie żoną innego. Ben musiał się zadowolić jałmużną. Był szczęśliwy, że choć tyle zechciała mu dać.

Poczuł, że oczy nia mokre od łez. Nigdy przedtem nie płakał w takiej chwili. Ale też nigdy przedtem nie kochał. Nigdy dotąd nie stracił ukochanej.

Ben siedział w kuchni i pił kawę. Wyglądał jak człowiek, który przeszedł przez piekło.

- Muszę wracać do Toronto - oznajmiła Samanta bez wstępów.

- Nie zostaniesz jego żoną - oświadczył bez nadziei, że te słowa cokolwiek dla niej znaczą.

Nie mogę mu teraz nic powiedzieć, pomyślała. Cokolwiek między nimi zaszło, Justin ma prawo pierwszy dowiedzieć się o mojej decyzji.

- Muszę wracać - powtórzyła.

Wyciągnął do niej rękę. Cofnął ją po chwili.

- Dobrze - zgodził się potulnie. - Ja... - Chciał ją przeprosić. Nie umiał. Już łatwiej byłoby się przyznać, że bez niej umrze.

- Chcę zaraz jechać. - Był wczesny ranek. Stanowczo za zimny na długi spacer. - Czy mógłbyś...

- Dobrze - powtórzył. - Chodź.

Ben w milczeniu przymocował torbę Samanty do skutera śnieżnego. Nie odezwał się do niej przez całą drogę. W milczeniu oddał jej torbę. Dopiero kiedy wsiadała do samochodu, odważył się coś powiedzieć.

- Wiem, że to nie powinno się zdarzyć. Powiesz mi?

- Nie - odparła.

Wiedziała, że nie będzie musiała. Nie okłamywała Justina, nawiązując romans z Benem. Okłamała Bena, zaręczając się z Justinem.

Justin nie był zadowolony, ale Samanta wyczuła, że kamień spadłmu z serca. Udawał, że tak nie jest, nawet próbował ją pocałować. Samanta była zimna jak gład, a on nie przepadał za całowaniem gładów. Umieściła pierścionek na szczycie rzeźby. Dopiero wtedy usłyszała, że w sypialni ktoś jest. Nie namyślała się ani chwili. Przeszła przez pokój, otworzyła drzwi do sypialni Justina.

- Cześć, Judith - powiedziała pogodnie. - Teraz rozumiem, dlaczego byłaś taka wściekła.

- Tak się cieszę, Sam! - Simone ją uściskała. - Dobrze się składa, bo ja też mam ci coś ważnego do powiedzenia. Wyjeżdżam do Afryki. Zostanę pielęgniarką. Najpierw przejdę szkolenie w szpitalu, a potem pojedę do Rwandy.

- Och, Simone!

- Kazałaś mi znaleźć jakieś wyjście. To jest najlepsze. Nareszcie się komuś przydam.

- Musisz zaraz jechać? Jeszcze przed świętami?

- Nie zatrzymuj mnie, proszę. Ja naprawdę chcę tam wy-

jechać. Napiszesz do mnie? Jeśli przyślę ci list, czy mi odpiszesz?

- Jasne. - Samanta ją przytuliła. - Napisz do mnie od razu, jak tylko zajedziesz na miejsce.

Do wieczora chodziła jak w transie. Jakby czekanie było częścią rytuału. Potem wykapała się, ubrała. W czerwoną suknię i złoty naszyjnik. Wsiadła do samochodu. Jechała powoli ośnieżonymi ulicami.

Dopiero kiedy zatrzymała się przed domem Bena i zobaczyła, że w oknach jest ciemno, przypomniała sobie, że dziś niedziela i że Ben pewnie jest u rodziców.

Wróciła do domu. Wiedziała, że Ben do niej nie przyjedzie, a jednocześnie była pewna, że musi się u niej zjawić.

Kiedy zadzwonił domofon, nawet nie zapytała, kto chce się z nią widzieć. Natychmiast otworzyła. No bo jeśli to nie był Ben, to nie miało żadnego znaczenia, kogo wpuszcza do domu. Stała w otwartych drzwiach, czekając ma to, co los jej przyniesie.

Ben wysiadł z windy. Porwał ją w ramiona, zaniósł do mieszkania. Po raz pierwszy w życiu odczuwał takie pożądanie. Pomyślał, że nigdy nie będzie miał dosyć tej kobiety, że nawet na chwilę jej od siebie nie puści.

A przecież przyjechał tylko po to, żeby z nią porozmawiać. Chciał ją zaklinać, prosić, żądać, żeby zerwała zaręczyny, żeby dostrzegła prawdę i przestała żyć w kłamstwie.

Zaniósł ją do sypialni i położył na łóżku.

- Kocham cię, Sam - wyszeptał, zanim zaczął ją całować.  
- Kocham cię i chcę, żebyś ty też mnie pokochała. Obiecuj mi, że spróbujesz.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Kochasz mnie? - zapytała. Nie wiedziała, jak Ben rozumie to słowo i jak często mówił je innym kobietom.

- Przecież od tygodni ci to powtarzam. - Uśmiechnął się do niej.

- Od tygodni?

- A myślałaś, że po co to wszystko robiłem? - W jego oczach lśnił blask, jakiego Samanta nigdy przedtem tam nie widziała.

- Myślałam... Wiedziałaś, że mnie pragniesz, ale...

- I tak w końcu zostaniesz moją żoną! - Ben położył rękę na jej dłoni. - Teraz już cię nie wypuszczę. Uważasz, że Justin i jego rodzinna fortuna zapewnią ci bezpieczeństwo, ale to nieprawda. On nie da ci tego, czego naprawdę potrzebujesz. Jeśli go poślubisz, będziesz miała pieniądze, ale szczęścia nie zaznasz. Przez całe życie będziesz czegoś szukać.

- Nie rozumiem... Co to wszystko ma znaczyć?

- Myślałem, że wiesz...

- Co mam wiedzieć?

- Że cię kocham i chcę, abyś została moją żoną. Nie wiedziałaś?

- Ale... Miranda mówiła... Sądziłam, że...

- Ach, ta moja mama! - westchnął Ben. - Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że nie ożeniłem się dlatego, bo nigdy nikogo nie kochałem?

- Nie przyszło - przyznała się Samanta. - Sądziłam, że bywałeś zakochany. Wiedziałam, że mnie pragniesz, ale byłam zaręczona... Myślałam, że ty tak z każdą kobietą... Tylko nie nalegałeś, bo byłam zaręczona z Justinem.

- Nigdy w życiu tak nie cierpiałem. Kochałem cię, a ty się uparłaś, żeby wyjść za mąż za McCourta.

- Zdawało mi się, że go kocham. Teraz wiem, że się myliłam. To, co mnie w Justinie pociągało, to poczucie bezpieczeństwa, jakie mi gwarantował. Naprawdę wierzyłam, że to miłość.

- Teraz już nie wierzysz? - zapytał zdziwiony.

- Wczoraj to zrozumiałam. Zrozumiałam, że nie mogę być jego żoną, skoro pragnę innego mężczyzny. Uznałam, że miałeś rację, że nie kocham Justina dość mocno. Nie mogę go poślubić. Nawet gdybym miała być z tobą tylko miesiąc, czy nawet tydzień.

Ben nie mógł otrząsnąć się z wrażenia. A więc Samanta zrezygnowała z bezpiecznego życia tylko po to, żeby побыć z nim przez tydzień?

- Tak się składa, że chciałbym zostać z tobą na całe życie - powiedział cicho. - Kiedy oddasz Justinowi pierścionek?

- Już to zrobiłam. Rano. Dlatego musiałam wracać.

Dopiero teraz twarz Bena przybrała normalny wygląd. Opuściło go napięcie, które dotąd ściągało mu rysy. Przytulił ją do siebie. Pocałował. Jakby dopiero od tej chwili naprawdę do niego należała.

- Wczoraj wieczorem, kiedy chodziłem po lesie, postanowiłem, że muszę się z tobą kochać. Miałem nadzieję, że kiedy się przekonasz, co możemy przeżyć razem, uwierzysz, że nie warto poświęcać tego dla Justina.

- Udało ci się. Wiesz, śniło mi się, że bierzemy ślub i że jestem szczęśliwa, bo cię kocham. Kiedy się obudziłam, wiedziałam, że kocham cię naprawdę.

- Zostań moją żoną, Sam - poprosił Ben.
- Zostanę! - Roześmiała się uszczęśliwiona.

Rano, jeszcze przed śniadaniem, Samanta włożyła do wazonika dwanaście nowych długopisów.

- A propos prezentów urodzinowych - przypomniała sobie. - Marie twierdzi, że ten złoty naszyjnik ma próbę.
- Naprawdę? - zapytał Ben bez cienia zainteresowania.
- Marie powiedziała, że to lite złoto.
- Naprawdę?
- Nie wierzę jej. Jest prawdziwe, czy nie?

Wreszcie Ben na nią spojrzał.

- Okłamałaś mnie - stwierdziła.
- Inaczej byś go nie przyjęła.
- Czy tamtego wieczoru chciałaś mi coś powiedzieć?
- O ile dobrze pamiętam, nawet powiedziałem, ale ty byłaś nieugięta.

- Kupiłaś ten naszyjnik, żeby mi pokazać... Chciałaś mi udowodnić, że też jesteś bogaty?

- Kupiłem go, bo cię kocham, bo się za tobą stęskniłem, a ten naszyjnik mi ciebie przypominał.

Samanta uśmiechnęła się do niego. Odwróciła twarz do okna, za którym znów padał śnieg.

- Skoro już mówimy o biżuterii, to zaraz pójdziemy kupić pierścionek - odezwał się Ben. - Znam jednego bardzo dobrego jubilera.

- Na biurku leżą spinacze. - Samanta podpowiedziała mu prostsze rozwiązanie.

- Nie będą potrzebne. Ten jubiler otwiera sklep o wpół do dziewiątej. Do tego czasu nie spuszcze cię z oka.

- Tutaj? - wykrzyknęła Samanta, gdy Ben zaprowadził ją do sklepu, który dobrze znała.





w jasnych promieniach słońca. Rano Samanta wyjechała po brata na lotnisko i zaraz przywiozła go tutaj.

- Zimno - powiedział Ezra. - Już prawie zapomniałem, jak wygląda prawdziwa zima.

Ben wyszedł im na spotkanie i wszyscy troje weszli do domu. Powitaniom nie było końca. Wszyscy chcieli zobaczyć brata Samanty.

- Tak się cieszę, że udało ci się przyjechać - powitała go Miranda.

Potem oglądali pierścionek Samanty. Stwierdzili, że jest bardzo ładny i że świetnie pasuje do koloru jej oczu.

- Czy wiesz, że to ja znalazłam Benowi Samantę? - zapytała Miranda, kiedy po obiedzie razem z Ezrą siedzieli na kanapie. - Przez chwilę zdawało mi się, że już nic z tego nie będzie, ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

- Dobra robota! - pochwalił ją żartobliwie Ezra. - Cieszę się, że moja siostra wejdzie do waszej rodziny.

- Ona pasuje do nas, a my do niej. Jesteśmy tacy szczęśliwi. Naprawdę mało brakowało, a nic by z tego nie wyszło. Wiedziałaś o tym?

- Wiedziałem, że zaręczyła się z McCourtem - skrzywił się Ezra.

- Znalazłam ją dosłownie w ostatniej chwili.

- Na to wygląda - zgodził się Ezra.

Ezra i Miranda wymienili spojrzenia, które powiedziały wszystko, co sądzili na temat Justina McCourta. Miranda uśmiechnęła się i zaczęła z innej beczki.

- Czy dobrze zrozumiałam, że wciąż jesteś kawalerem? Bo widzisz, znam pewną bardzo sympatyczną dziewczynę...

Ben i Samanta spacerowali po zasypanym śniegiem lesie.

— Chciałbym, żebyśmy się szybko pobrali. Poznaliśmy się w Święto Dziękczynienia, zaręczyliśmy w Boże Narodzenie, więc ślub moglibyśmy wziąć w Nowy Rok.

- Tak szybko? - zdumiała się Samanta. - Nie zdążymy. Twoja mama powiedziała...

- Wyobrażam sobie, co ona kombinuje. Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebyśmy wzięli huczny ślub? Bo mnie się ten pomysł bardzo podoba. Chętnie pochwalę się tobą przed całym światem. Tyle się namordowałem, żeby cię zdobyć.

- Ja też chciałabym mieć uroczysty ślub - przyznała.

- No to może na walentynki? Wszyscy będą szczęśliwi. Zwłaszcza mama. Zasłużyła na swój wielki tryumf. - Roześmiał się. Wreszcie znów mógł się śmiać. - Nie wiem, skąd ona cię wytrzasnęła, ale jeśli w przyszłości bardzo mnie zdenewruje, będę musiał pamiętać, że to ona mi ciebie znalazła.

- Kiedyś w końcu będziemy ci musiały powiedzieć, jak mnie znalazła. - Samanta uśmiechnęła się tajemniczo.